Miesięcznie 1 zł. **1 egz. 30 groszy.**
prenumeratę przyjmuje każda poczta

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. **Niedziela, dnia 4 października 1936 r.** Nr. 40



Jesienny spacer

Niebo głębokie i niedościgłe
Rozlewnym, wielkim płynie okręgiem — —
Zawieja liści w słońcu się kłębi,
Zmąca, roztrąca je wciąż wiatr śmigły.

* * *

Mienią się złotem, mienią szkarłatem,
Czasem i zieleń soczysta w nich bł,ska
— Tyle radości zewsząd dziś tryska,
I każdy z ludzi zdaje się bratem...

* * *

Wśród tych barw cudnych i blasków słońca
Dusza otrząsa się znów powoli
Z zamyśleń gorzkich o ludzkiej doli
Nadzieja znowu w struny serca trąca.

* * *

Tyle uroków i szczęścia tyle
Niesie nam z sobą ta złota jesień!
Szczerych zachwytów, cudnych uniesień
— Niezapomniane są dla nas chwile...

Danuta Wyrybkowska

WOJCIECH HOLM

1)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

ROZDZIAŁ I.

Kto ona?

Mroźna noc zimowa spadała na ziemię otuloną śniegiem.

Wiatr północny, wyjąc i świszcząc ciągnął po równinie, wreszcie wpadł w las, gdzie z rozszalałą wściekłością z korzeniami wyrywał najstarsze drzewa.

W chatach i dworach ludzie przysuwali się do kominka, na którym trzeszcząc, palił się ogień i nikt nie ważył wychylić się za drzwi.

W leśniczówce, położonej w środku lasu hrabiego Wildensteina, zebrali się także wszyscy jej mieszkańcy wokoło płonącego ogniska.

— Ależ to powietrze! — narzekał leśniczy Herwart, człowiek okazałej postaci. — Ten wiatr do kości przenika, psa teraz z domu nie wypędzi. słyszysz jak w kominie coś się wali?

Żona leśniczego przeżegnała się nabożnie.

— Panno Święta, — rzekła — ochraniaj nieszczęśliwych, którzy teraz są pod gołem niebem. Zaprowadź ich szczęśliwie pod dach, opiekuj się nimi i ochraniaj ich bo zginą marnie. Amen.

— Amen! — powtórzyli nabożnie wszyscy.

Nagle odezwało się trwożne, głośne szczekanie psa.

— Czego on... — zerwała się żona leśniczego. — Janku, nasz biedny Tyras na dworze, otwórz mu!

Janek, jeden z podleśniczych, otworzył drzwi i w następnej chwili wpadł do pokoju olbrzymi pies i wyjąc, usiłował pana swego pociągnąć za spodnie ku drzwiom.

— Coś tam musiało się stać, niechby chłopcy poszli zobaczyć! — rzekła żona leśniczego.

— Pójdę sam — rzekł leśniczy. — Tyras! — zawołał na psa i wyszedł z nim.

— Zły dzień! — zaczął po chwili Franek, najstarszy z pomocników leśniczego. — Krwawy buk, którego ojciec jaśnie pana posadził w dzień urodzenia naszego pana, leży powalony burzą.

— Zły dzień i rok cały zły — dodał Janek. — Zwierz nasz ginie w lesie z głodu. Jeżeli tak dalej pójdzie, to nasz zwierzostan smutno będzie się przedstawiał.

Podczas gdy oni tak sobie rozmawiali, żona leśniczego ciągle nadsłuchiwała, co się dzieje na dworze.

— Słyszycie? — spytała nagle.

Rzeczywiście, wśród wycia wichru i szumu burzy słyszeli teraz wołanie leśniczego.

Na miłość boską, otwierać prędzej.

Prędko otworzono drzwi. Do pokoju wszedł leśniczy, niosąc na ręku jakąś omdlałą kobietę, której szaty okryte były warstwą zamarzniętego śniegu.

— Co to się stało?, spytała go żona.

— Znalazłem ją pod trzema sosnami, — opowiadał leśniczy. Jeszcze torebka tam leży w śniegu, idź Janie przynieś. Zdejm jej Magda chustkę — rzekł potem do żony.

Żona usłuchała i z pod chustki okazały się złote pukle bujnych włosów omdlałej kobiety.

— Zanieś ją do sypialni, tatku, — rzekła Magda ze współczuciem. Kasia pomoże ją mi rozebrać i położyć do łóżka. W piwnicy mamy jeszcze flaszkę starego koniaku, który nam tamtego roku przywiósł kuzyn z Hamburgu. Przynieś ją Franek.

Wszyscy mieszkańcy samotnej leśniczówki pomagali ratować nieznajomą.

Leśniczy zaniósł ją do sypialni i położył na łóżko.

Gdy wyszedł, Magda ze służącą zaczęły ją rozbierać. Obuwie jej sporządzone było z jakiejś drogiej skórki, ale zniszczone.

Bielizna była z cieniutkiego płótna, ozdobiona szerokiemi koronkami i znaczona jakimś sztucznym monogramem, nad którym była korona dziewięciopałkowa. Lecz zarówno halka jedwabna, podstaniczek, jak i bielizna, były zniszczone. Nareszcie zdjęły z niej gorset.

Stara służąca zauważyła na palcu jej ślubną obrączkę.

— Jaka duża, — rzekła pokazując ją swojej pani. Nasza pani hrabina z pewnością nie ma większej.

— Rzeczywiście, odpowiedziała pani Magdalena. Ale idź i przynieś kołdrę, którą kazałam ogrzać.

Służąca wyszła i za chwilę wróciła z kołdrą, flaszką koniaku i łyżeczką. Obie zabrały się do masowania przemarzniętych członków nieszczęśliwej kobiety.

— Żeby jej można wsączyć do ust kilka kropel koniaku, — rzekła pani Magdalena, kiedy zęby ma tak strasznie silnie zaciśnięte. Boję się czy ona jeszcze żywa.

— Kiedy rusza brwiami, — rzekła Kasia, spróbujemy jeszcze raz.

Z trudem udało się im wsączyć między zęby chorej kilka kropel koniaku. Ośmielone pierwszą udaną próbą, napełniły łyżeczkę na nowo i wlały ją do ust nieszczęśliwej kobiety.

W tej chwili nozdrza chorej roszerzyły się, głębokie westchnienie podniosło jej pierś, drżenie przeszło po całym ciele, powieki rozwarły się i oko niespokojnie wodziło po pokoju.

Słabym, ale dźwięcznym głosem wyrzekła pytanie, ale językiem, którego ani pani Magdalena ani Katarzyna nie rozumiały.

— Zrób prędko gorącą herbatę, rozkazała pani Magda.

Nieznajoma znowu zamknęła oczy. Z rysów jej przebijał jakiś wielki fizyczny ból. Magda podbiegła do pokoju, w którym siedzieli mężczyźni przy kominku.

— Cóż ta biedna dziewczyna? spytał leśniczy.

— To nie dziewczyna, tylko kobieta, odpowiedziała mu żona i to w poważnym stanie. Prędko poślij po doktora, bo zdaje mi się, że teraz nadchodzi jej chwila i dwoje ludzi może zginąć.

W tej chwili doleciał ich z sypialni bolesny krzyk chorej.

Janek prędko odłożył fajeczkę i pospieszył do stajenki. Leśniczy tymczasym wypytywał żonę o nieznajomą. Co za jedna? pytał.

— Nie wiem, odparła, wiem tylko, że jest nieszczęśliwą i potrzebuje naszej pomocy.

To rzekłszy, wróciła do sypialni.

W dwie godziny później, przy pomocy lekarza, którego Janek przywiózł był z miasta nowonarodzone dziecko ujrzało światło dzienne.

Nieznajoma nie przebyła zwycięsko ciężkiej chwili. Umierając, powtarzała słowa brzmiące jakby jakieś gorące upomnienie, przyczem z wyrazem nieopisanej trwogi wskazywała to na dziecko to na sztucznie zrobiony gorset leżący przy jej łóżku.

Nikt z obecnych nie rozumiał jej.

Lekarz był stary i nie dosłyszał.

Leśniczyna i służąca umiały tylko po niemiecku i patrzyły na siebie bezradnie.

— Troska o dziecko nie daje jej umrzeć, szepnła stara służąca, której pod grubą koszulą biło serce pełne współczucia. Magdalena zaś wzięła dziecko na rękę i wzniósłszy dwa palce ku górze, przysięgła uroczyście: ślubuję, dziecka tego nigdy nie opuszczać, kochać je i pielęgnować jak własne. Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący.

Wzrok umierającej rozjaśnił się radością, ale ręka wciąż pokazywała na gorset.

— Ona tam musi coś mieć, rzekł lekarz.

— Zachowam to dobrze, odparła żona leśniczego.

Umierająca spojrzała wzrokiem pełnym miłości na dziecko. Magdalena podała dziecko jej a ona ucałowała je, szepcząc jakieś błogosławieństwo. Potem oczy jej zamknęły się na wieki.

Obie kobiety uklękły i zmówiły pacierz za jej duszę.

ROZDZIAŁ II.

Czy nieznajoma bierze tajemnicę ze sobą do grobu?

— Biedny robaczku opuszczony, szepnęła Magdalena tuląc dziecko do siebie, będę ci matką, a ty mi zastąpisz moje zmarłe dzieci.

Lekarz wziął do ręki gorset i przypatrywał mu się bacznie.

— Ogromnie sztuczny, rzekł, nic, tylko stalówki i bryle.

— Może tam są pieniądze zaszyte, dorzuciła Kasia.

— Gdyby ona miała jakieś pieniądze, nie byłaby w lesie, w czasie takiej burzy.

— Więc pewnie w gorączce tylko tak patrzyła na gorset, musiało jej się coś śnić, tu nic niema. To powiedziawszy, oddał gorset Magdalenie.

— I ja nic nie widzę, rzekła ona, lecz w każdym razie zastosuję się do życzenia zmarłej i schowam ten gorset starannie.

— Co ona jeszcze miała przy sobie? pytał doktor.

— Jakąś torebkę, odparła służąca.

— Przynieś, może poznamy po niej co to za jedna.

Służąca otarła łzy fartuszkiem i wyszła do drugiego pokoju.

Słońce już dawno weszło, ale dziś, wbrew swemu zwyczajowi, leśniczy jeszcze był w domu.

— Jakże? spytał.

— Powiła córeczkę i umarła.

— Biedaczka taka młoda.

— A jak walczyła ze śmiercią!

— Ciekawym, kto to może być?

Właśnie mnie pan doktor posyła po torebkę, że tam może coś będzie.

Masz ją, rzekł leśniczy wręczając torebkę jest bardzo lekka.

Katarzyna poniosła torebkę lekarzowi.

— Z drogiej skórki torebka, ale zniszczona, — rzekł otwierając.

Wyłożył na stół elegancką kasetkę toaletową z pieczątką paryskiej fabryki i trochę delikatnej haftowanej bielizny. — Żadnego papieru, żadnego listu tam nie ma, z tego nic się nie dowiemy, — rzekł. Sądząc z tego, że ma takie małe ręce i nogi, tak delikatną cerę i wszystkie rzeczy jej, choć zniszczone, takie są kosztowne, musi to być kobieta z jakiejś dostojnej rodziny. Musimy w najpoczytniejszych dziennikach poczynić starania, aby odnaleść jej krewnych. Pomówię o tem z mężem pani.

Pani Magdalena zobaczyła w tej chwili przez okno proboszcza zdążającego z organistą do leśniczówki. Wstała aby wyjść naprzeciw gościa.

Po zwykłych przywitaniach, rzekła: — Zapóźno wielebny księże, nieznajoma właśnie skonała.

— Byłem na pobliskim cmentarzu, kiedy posłaniec wasz przyszedł do mnie. Wróciwszy do domu i dowiedziawszy się o co chodzi, wyruszyłem natychmiast do leśniczówki. Żałuję mocno żem nie zdążył. A kto to jest?

— Nie wiem, wielebny ojcze, odpowiedziała leśniczyna i zdaje się, że nigdy się nie dowiemy. Prawdopodobnie nieznajoma zabrała tajemnicę z sobą do grobu.

— Młoda była? spytał proboszcz.

— Niech ksiądz proboszcz będzie łaskaw zobaczyć, młodziutka i śliczna.

To rzekłszy, wprowadziła go do pokoju.

Proboszcz przypatrywał się zmarłej, szepcząc słowa modlitwy, potym kazał jej ściągnąć obrączkę ślubną.

Leśniczyna wahała się dobrą chwilę zanim ostrożnie ściągnęła z ręki zmarłej grubą obrączkę złotą, którą podała proboszczowi.

Ten odczytał na wewnętrznej stronie obrączki następujący napis: Ernst, comte de W. le premier avril, 1866.

— To ciekawe rzekł, Ernst, to po niemiecku, bo po francusku imię to brzmi „Erneste", niema też litery „W" we francuskiem, musiał to więc być hrabia niemiecki, żyjący we Francji.

Magdalena chciała obrączkę wsunąć napowrót na palec zmarłej, ale ksiądz się sprzeciwił, mówiąc, żeby ją schować dla dziecka, jako jedyną pamiątkę i jedyny środek wylegitymowania się.

— Proszę księdza, mówiła pani Magdalena, ona nie będzie miała spokoju w grobie, bez tej obrączki. Gdyby się była chciała jej pozbyć, nie byłaby musiała iść wśród burzy pieszo przez las i byłaby może życie uratowała. Więc dlaczegoż ją teraz tej obrączki pozbawiać?

— Nie popełni pani rabunku, uspokajał ksiądz, jeżeli pani obrączkę przechowa dla sieroty.

Przeżegnał trupa znakiem krzyża świętego i wyszedł.

Lekarz poszedł za nim, a Magdalena została sama.

Uklękła koło zmarłej i dotknąwszy jej zimnej dłoni, rzekła: — Wybacz, to ze względu na dziecko.

Głosik dziecka wyrwał ją z zaduny. Chwyciła je na ręce by je w płaczu utulić, a gdy dziecko wciąż płakało, poniosła je do kuchni, by mu dać mleka.

Tymczasym w jadalni, leśniczy z lekarzem i księdzem naradzali się co zrobić, aby się dowiedzieć, kto jest ta nieznajoma.

Proboszcz napisał kilkanaście inseratów do rozmaitych dzienników krajowych i zagranicznych, a lekarz zaofiarował się dalej podać wiadomość o wypadku, sądził jednak, że to się na nic nie przyda.

— Widać, mówił, że ona nie miała nikogo na świecie, skoro ją znaleziono w tak okropnym położeniu.

— Przepraszam, panie doktorze, sprzeciwił się proboszcz, musiała jednak mieć kogoś i zdążając do niego po drodze zaniemogła.

— Jak kto uważa, mówił doktor i półgłosem czytał inserat: 6-tego stycznia około godziny 10 wieczorem znaleziono w lesie hr. Wildensteina nieznajomą kobietę, omdlałą i prawie na śmierć zmarzniętą. Leśniczy Herbert wziął ją do swego domu, ona zaś nad ranem powiła córeczkę i umarła. Mieszkańcy leśniczówki nie mogli się z nią rozmówić, ponieważ przemawiała językiem obcym. Papierów żadnych przy niej nie znaleziono. Inne oznaki jednak wskazują, że musi pochodzić z dostojnej rodziny. Zmarła była średniego wzrostu, zbudowana proporcjonalnie. Miała długie złote włosy, regularne rysy, piękne zęby i ciemną cerę. Mogła mieć lat 18 lub 19. Na palcu miała obrączkę złotą z napisem: Ernst, comte de W. le premier avril, 1866.

Uprasza się o łaskawe ewentualne wyjaśnienia co do osoby zmarłej, pod adresem: Leśniczówka hr. Wildensteina, dwie mile od stacji Eberschau.

— Takie długie ogłoszenie będzie bardzo dużo kosztowało, dodał doktor kończąc czytać.

— Ja sam wszystko zapłacę rzekł leśniczy.

— Szkoda, możnaby skrócić, odpowiedział doktor.

Nie, dodał leśniczy, wolę długie, prędzej wpadnie w oko; nie będę szczędził kosztów, Straciłem dwoje swoich dzieci i nie mam dla kogo oszczędzać!

— Jak pan chce, rzekł doktor i poprosił o konie, któreby go odwiozły do miasta. Przybywszy do stacji, nadał ogłoszenie, i w kilku dni później czytano je w najpoczytniejszych dziennikach niemieckich i francuskich.

Nikt jednak nie zgłosił się z wyjaśnieniami.

— A co, nie mówiłem, zawołał stary doktor, nie szkoda było pieniędzy?

ROZDZIAŁ III.

Repuiescat in pace

Leśniczówka była świątecznie przystrojona. Miały się odbyć chrzciny nowonarodzonego dziecka i pogrzeb matki.

Pani Magdalena sama uszyła jej szaty pośmiertne, płacząc rzewnymi łzami. Na pamiątkę dla dziecka ucięła pukiel złotych włosów.

Ustroiwszy zmarłą, uszczknęła pielęgnowane w pokoju róże i ozdobiła niemi katafalk. Koło niego chodzili domownicy na palcach, jakby się obawiali, aby jej nie zbudzić. Sąsiedzi z pobliskich leśniczówek schodzili się coraz liczniej na pogrzeb.

Na końcu przybył proboszcz ze swoją siostrą.

Była to starsza panna, losem nieszczęśliwej zmarłej ogromnie wzruszona.

Całem zdarzeniem była tak przejęta, że ofiarowała się trzymać dziecko do chrztu. Wzięła je na ręce i przy śmiertelnym posłaniu matki odbyła się cała ceremonia.

Na życzenie leśniczego nadano dziecku imię Sylwia. Mówił bowiem: W lesie się urodziło i w lesie pozostanie.

Gdy się skończyła ceremonia chrztu świętego sześciu gajowych wzięło trumnę na barki i poniosło ją na cmentarz.

Proboszcz miał wzruszającą mowę, przy której kobiety spłakały się rzewnie. Potem spuszczono w ziemię trumnę, o którą odbijały się głucho grudy zmarzłej ziemi.

Eerbertowie wrócili smutni do domu.

— Powiedzieliśmy, mówił leśniczy do żony po długim milczeniu — że dziecko to będziemy uważali za swoje. To jeszcze nie wszystko.

Magdalena spojrzała na niego zdziwiona.

— Uważasz, tłumaczył jej mąż, że skoro tylko Sylwia dorośnie, tu, w tej naszej leśniczówce, może się kiedyś przypadkiem, bo musi się nawet dowiedzieć o swojem pochodzeniu i tem samem odebrane jej będzie złudzenie, że ma dom i rodziców. Musimy więc, aby temu zapobiedz, opuścić tę okolicę, w której wszyscy znają jej pochodzenie.

— Masz rzeczywiście rację, kochany Pawełku, odpowiedziała żona, ale pomyśl sobie, piętnaście lat tu jesteś, przyzwyczaiłeś się, przykro ci będzie opuszczać przyjaciół i ten las, w którym tak wiele sadziłeś drzew. Kto wie zresztą czy znajdziesz gdzieindziej tak dobrą posadę.

— Posada już jakby była, odrzekł leśniczy. Starszy kolega mój, Hartmann, idzie na pensję i pan hrabia już kilka razy mię zachęcał, abym się starał o jego posadę.

Nie chciałem opuszczać tej ulubionej leśniczówki, ale teraz uczynię to chętnie.

— Königswalden znasz?

— Ależ to trzydzieści mil, przestraszyła się pani Magdalena.

— Tem lepiej, odparł leśniczy, tem większą mamy pewność, że pochodzenie Sylwi zostanie dla niej tajemnicą.

— To w górach.

— Nic nie szkodzi, zdrowe powietrze.

— Skorś tak postanowił, więc się zgadzam kochany Pawełku, — rzekła wreszcie Magdalena z milutkiem uśmiechem, który jej nie młodą już twarz niezmiernie upiększał. Wprawdzie mi ciężko będzie z początku w nowych stosunkach, ale ja mówię jak Rut: twój Bóg, jest moim Bogiem, twój kraj, jest moim krajem, twój lud, moim ludem.

— Ty jesteś moją kochaną żoną, rzekł leśniczy, obejmując ją czule i pożegnawszy ją, wyszedł do hrabiego.

Powróciwszy od niego z wesołą miną, już z daleka wołał: dobre wieści, na wiosnę jedziemy do Königswalden.

ROZDZIAŁ IV.

Pierwsza miłość

Siedemnaście razy zazielenił się pagórek nad grobem nieznanej kobiety, siedemnaście razy pokrył go całun śnieżny.

Przez siedmnaście lat leśniczy Herbert kilkakrotnie czynił starania, aby uchylić zasłonę tajemniczości, osłaniającą matkę Sylwii, aż nareszcie usiłowań zaprzestał.

Oboje z żoną w rzeczywistości niczego się bardziej nie bali, jak tego, że im ktoś kiedyś może zabrać przybraną córeczkę. Sylwia była ich największą pociechą, ich dumą i nadzieją. Całe ich dążenie i staranie było tylko ku temu zwrócone, aby to ulubione dziecko uszczęśliwić.

Dzięki środkom ostrożności, które przedsięwziął Herbert, Sylwia nie przeczuwała nawet

w jakim stosunku pozostaje do swych domniemanych rodziców a nikt w okolicy nie mógł jej tego zazdrościć z tej prostej przyczyny, że sam o tem nie wiedział.

Sylwia tymczasem wyrosła na piękną, przystojną panienkę i Herbertowie mówili z dumą, że ich córka jest najpiękniejszą w całej okolicy.

Adoptowali ją w formie zupełnie prostej, zrobili to jednak również cicho, tak że żadna z kumoszek o tem nie wiedziała.

Tymczasem leśniczówka stała się niewyczerpanym tematem do rozmów dla tamtejszych plotkarek.

Ku wielkiemu ich oburzeniu, Herbert nie posyłał córki do szkółki wiejskiej, tylko wziął dla niej doświadczoną nauczycielkę do domu i dziecko przywiązało się bardzo do nieśmiałej, chorej i nerwowej nauczycielki, która umiała opowiadać o tylu ładnych rzeczach, śpiewać piosenki tak przemawiające do serca i tak ładnie grać na fortepianie.

Mieszkańcy wsi oburzyli się na to, że córka leśniczego czas traci na grze na fortepianie, ale później dostali temat do plotek bardziej zajmujący, bo ku wielkiemu ich zdziwieniu i palącej zazdrości, bywał tam od pewnego czasu codziennie młody hrabia Werner, wnuk właściciela Wildensteinu i Königswalden.

— Co to z tego będzie? mówili sobie, czy ten leśniczy jest ślepy? Nasz stary pan jest dumny jak diabeł; może sobie Sylwia być tysiąc razy najpiękniejsza w całej okolicy, to jednak stary pan nigdy jej nie uzna za narzeczoną swego wnuka.

— Nic nie szkodzi, mówił ktoś drugi, hrabia Werner nie ma rodziców ani rodzeństwa, po śmierci dziadka będzie sam swoim i będzie mógł robić co mu się podoba i poślubi ją.

— Nie bójcie się, odpowiada gruba młynarka, do ślubu, to on już sobie poszuka jakąś dostojną hrabiankę. Ci panowie zawsze tak się przymilają do dziewcząt z ludu, ale nie z poważnemi myślami. Panna Sylwia niech będzie zadowoloną, jak wyjdzie za jakiego podleśniczego.

Sylwia sama o tych gadaninach nie miała pojęcia. Żyła w szczęściu jak w słońcu, nie znając trosk.

Starzy nie odmawiali jej niczego; była zdrowa, młoda i piękna, kochała po raz pierwszy w życiu młodego, okazałego chłopca, hrabiego Wernera, którego czarująco miłe usposobienie, serce pełne dobroci, bystry umysł i wszystkie przymioty razem, zdobyły sobie jej serce. Kochała go i widziała z zachwytem, że wcale nie bez wzajemności.

Jeszcze sobie nic wzajemnie nie powiedzieli o miłości, ale Sylwia czuła, że serce Wernera przywiązane było do niej nierozerwalnemi węzłami.

Jakże była szczęśliwa, gdy z nim rozmawiała, gdy jej opowiadał tak czarująco o obcych krajach i przedstawił w słowach całą piękność krajów południowych.

Upojona szczęściem, wisiała wtedy wzrokiem na jego ustach zapominała gdzie jest traciła świadomość czasu i byłaby tak z nim szła na koniec świata.

Nie pragnęła niczego, ani godności, ani majątku, tylko jego miłości.

Z troską w oku, patrzył na to Herbert. On zastanawiał się nad tem, co z tego będzie.

Wprawdzie ufał zupełnie hrabiemu, jednak mimo to uważał sobie za obowiązek w tym wypadku wkroczyć z ojcowską powagą. Pewnego razu czekał na chwilę, w której się hrabia pożegnał z Sylwią i poprosił go na kilka słów rozmowy.

— Służę z przyjemnością, odparł hrabia uprzejmie.

Zaprowadził go do swego pokoju i tu rzekł stanowczo: panie hrabio, tak dalej być nie może

— Pan mi nie ufa? z żalem spytał hrabia.

— Ufam odparł leśniczy, i gdybyś pan nie miał uczciwych zamiarów, mówił dalej podnosząc głos i czerwieniąc się zastrzeliłbym cię, jak wściekłego psa.

— Niech się pan uspokoi, ja Sylwię czczę i kocham.

— Ją pan czcisz kochasz, a z inną się ożenisz?

— Przenigdy, żywo obruszył się hrabia.

Leśniczy pokiwał głową niedowierzająco.

— Panie hrabio, rzekł poważnie i stanowczo jesteś pan winien względy swemu stanowi i pochodzeniu, a my dobrej sławie naszej córki. Nikt panu nie weźmie za złe, jeśli pan się będziesz liczył ze swoimi względami, ale i my musimy się liczyć ze swoimi. Pomyśl pan, że Sylwia, to cała nasza radość, nasze szczęście, nasza duma. Ktoby się odważył narazić ją na ludzkie gadania, ten jest naszym wrogiem śmiertelnym. Spojrz pan na moje siwe włosy. Posiwiałem, jako człowiek szanowany. Czy chcesz pan być pierwszym, który hańbi moją siwą głowę?.

Hrabia zbladł.

— Czy pan mnie uważa za szubrawca? zawołał. Myśli pan, że jestem tak niski, żebym...

— Nie, przerwał leśniczy. Znam ciebie i ją i nie nieufność dla was dyktuje mi te słowa. Ale nie można ludziom dawać powodu do plotek Proszę pana omijać mój dom.

— Nie mogę żyć, nie widząc panny Sylwii, zawołał hrabia.

— Więc chcesz mnie pan zmusić, żebym się rozłączył ze swoim jedynem dzieckiem i wysłał je z domu, albo sam na stare lata wziął kij do ręki i szukał gdzie indziej domostwa.?

— Niech Pan Bóg broni i uchowa serdecznie zaprzeczył hrabia, dziś jeszcze wyznam wszystko dziadkowi. Pycha jego zamilknie, gdy tylko zobaczy cudną Sylwię. Ona jest godna korony królewskiej. Zawojuje go przy pierwszym spotkaniu.

Herbert nie podzielał złotej nadziei hrabiego, gdyż spytał stroskany:

— A wię przyrzeka mi pan, panie hrabio, nie przestępować więcej progu mego domu?

— Nie mogę, odrzekł hrabia Werner, kocham Sylwię i mam nadzieję, że będę częstym gościem w domu pańskim, jako jej narzeczony.

— Czyż się pan oświadczył mojej córce?

— Jeszcze nie, wprzód mam zamiar osiągnąć pozwolenie.

— Tego pan nigdy nie otrzyma, ponuro rzekł Herbert.

—A ja sądzę że jeszcze dziś, wesoło odpowiedział hrabia i pożegnawszy się, rzucił jeszcze te słowa:

— Do widzenia, przyszły teściu.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

1)

Niebezpieczny Gość

Powieść

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I.

DWAJ LETNICY

Willa „Aurora" wznosiła się na maleńkim pagórku tuż nad brzegiem jeziora, w pewnem oddaleniu od reszty domostw małej wioski-letniska. Zbudowana w nowoczesnym stylu, z obszernym wychodzącym na jezioro balkonem, budziła wrażenie eleganckiego domostwa.

Z trzech stron otaczał willę rozległy ogród, w którym najróżnorodniejsze krzewy wabiły oko obfitym plonem pięknych kwiatów. Do ogrodu przylegał sad, bogaty w wspaniałe drzewa, uginające się pod słodkim ciężarem owocu.

W pewnem oddaleniu od ogrodu znajdował się park, poprzecinany krętemi alejami, jednym końcem dotykający brzegu jeziora.

Na skraju tego właśnie parku, na wygodnej ławeczce, postawionej pod trzema, obok siebie rosnącemi brzozami, spoczywał młody mężczyzna, ubrany w elegancki garnitur sportowy.

Mógł mieć najwyżej dwadzieścia siedem lat i przedstawiał się korzystnie. Był dobrego wzrostu, miał falującą, ciemno-blond czuprynę, nieregularną, lecz interesującą twarz i piwne oczy, w których odbijała się szczera, dobra dusza.

Na pierwszy rzut oka można było domyślać się w nim człowieka z miasta. Delikatna, choć nieco już opalona, cera i wogóle charakterystyczne ruchy młodzieńca uzasadniały słuszność tego domysłu.

Bo tak też było w istocie. Zdzisław Doniecki był mieszczuchem w całem tego słowa znaczeniu. Urodził się w prastarym grodzie Lecha — Gnieźnie, a wychował i wykształcił się w Poznaniu, gdzie też obecnie posiadał, na wielką skalę prowadzone, przedsiębiorstwo handlowe. Poza tym był młodym, przystojnym, wykształconym i uchodził powszechnie za bogacza...

Nie dziwmy się więc, że młode i niemłode panienki wodziły za nim wymownemi oczyma. Ba! Nie tylko panny interesowały się młodzieńcem. Niejedna zacna matrona, mająca córeczkę na wydaniu, nie skąpiła zachodów i słodkich słówek, radaby nazwać zięciem tak przystojnego i bogatego kawalera.

Ale Zdzisław nie widział, a przynajmniej udawał, że nie widzi tego zainteresowania się jego osobą. Zamiast korzystać z licznych zaproszeń, przysyłanych mu — za staraniem miłych i przedsiębiorczych córeczek — przez poważnych obywateli grodu Przemysława, wolał cichaczem wyjechać z miasta, aby gdzieś na zapadłej prowincji używać wakacyjnych wywczasów.

Więcej wtajemniczeni w szczegóły prywatnego życia młodzieńca szeptali sobie na ucho, że Zdzisław nie tylko dla wypoczynku wyjechał z miasta, a więcej z tego powodu, że na wieś ciągnęło go serce! Że już zeszłego roku będąc na wsi, poznał tam jakąś dystyngowaną panienkę, z którą zaprzyjaźnił się i potem w sobie rozmiłował, że...

Szeptano i więcej jeszcze, ale, że ludzie bardzo często lubią zabawiać się plotkarstwem, a nie będąc w tej chwili przekonany o prawdziwości tych poufnie podawanych sobie, nowin — nie powtórzę tu wszystkiego.

To jedynie było pewnem, że Zdzisław za miejsce „wakacyjnych wywczasów" wybrał sobie zewsząd otoczoną lasami wioskę-letnisko, gdyż wylądował w pięknej willi emerytowanego urzędnika ministerialnego.

Zdzisław był tu już zeszłego roku. Właściciel willi „Aurory", pan Krański, powitał go, jako starego znajomego, serdecznie, a dowiedziawszy się, że, z powodu braku wolnych pokoi, nie mógł zakwaterować się w miejscowym hoteliku, uprosił go, aby zamieszkał w willi „Aurorze". Zdzisław zgodził się chętnie, tembardziej, że przybył tu z pewnemi zamiarami. Zdaje się, że te zamiary musiały dotyczyć kogoś z mieszkańców willi „Aurory", bo tak przynajmniej można było sądzić, obserwując zachowanie się młodzieńca zaraz w pierwszym dniu jego pobytu w willi.

Bowiem, pomimo wesołej rozmowy i swobodnego zachowania, baczne oko obserwatora spostrzegłoby, że Zdzisław w pewnych momentach był dziwnie roztargniony i, że oczy jego niespokojnie rozglądały się po wszystkich zakątkach mieszkania, jakby szukały kogoś, kogo spodziewały się tu przedewszystkiem zobaczyć. Było przy tem widocznem, że jakieś ważne myśli trapiły umysł młodzieńca. Kilka razy już otwierał usta, aby o coś zapytać pana Krańskiego, ale wrodzona nieśmiałość, czy też inne jeszcze względy nie pozwalały mu wypowiedzieć swych myśli.

Dopiero pod wieczór dowiedział się tego, o czem pragnął wiedzieć, mianowicie, że osoba o którą jemu najwięcej się rozchodziło, była nieobecną. Wobec tego, znalazłszy się wreszcie w przeznaczonym dlań, wytwornie umeblowanym pokoju, ułożył naprędce plan dalszego postępowania. Oto postanowił nie ujawniać właściwego celu swego tutaj przybycia i nie zdradzać się ze swemi zamiarami, lecz czekać cierpliwie napowrót zainteresowanej osoby. A tymczasem...

Tymczasem rozgościł się w willi, jak u siebie w domu. Miał tu zupełną swobodę i według własnego upodobania mógł spędzić następne cztery dni.

Po południu piątego dnia swego pobytu w willi „Aurorze", Zdzisław przedsięwziął małą wycieczkę nad brzegiem jeziora. Ale chodzenie po nierównym gruncie nadbrzeżnym wnet znużyło, nieprzywykłego do tego rodzaju sportu, mieszczucha. Zawrócił tedy do położonego obok willi, parku, pragnąc wypocząć sobie.

Widzimy go więc na skraju parku, jak wyciągnięty na ławce, głową na ręku oparty, wpatrywał się w okna willi, widniejące poza zielenią drzew.

A wokół niego rozścielał się cudny widok, zaiste wart pendzla malarza.

Obok parku rozściągała się łączka, poprzecinana gęsto kępkami niskich krzewów, wabiąc oko różnorodnością kolorów. Nieco dalej łączka opadała cośkolwiek, tworząc dolinę, której środek zajmowało jezioro, ciągnące się hen — i znikające za pagórkami, poza któremi w dali widać nierówną linię dębowego lasu.

Po prawej ręce znowu ciągnął się gaik zarosły młodemi, zaledwie kilkuletniemi drzewkami. Gaik zniżał się łagodnie ku dolinie, skąd rozpościerał się widok na wioskę, a właściwie na domy, których czerwone dachy błyszczały, oblane promieniami, chylącego się ku zachodowi słońca.

Wszystko to otaczały różnego gatunku lasy, ponad któremi niebo barwy blado-błękitnej, przy zachodzie słońca lśniło jaskrawą purpurą.

Zdzisław, zwykle bardzo wrażliwy na piękno natury, dziś jednak obojętnie spoglądał na otaczające go cuda przyrody. Był bowiem czem innem

zajęty. Zapatrzony w okna willi, wywoływał w wyobraźni żywy obraz pięknej dziewczyny, który już dawno wtargnął w najtajniejsze głębiny jego duszy...

— Czy jej wcale nie zobaczę? — szeptały usta rozmarzonego młodzieńca. — Nie miałbym ujrzeć pięknej Janeczki?... Ona wyjechała do krewnych... O, jakim dziwnym tonem powiedział mi to jej ojciec. Przytem patrzył na mnie bardzo przenikliwie. Czyżby pan Krański domyślał się czego?... E, chyba nie. Janka napewno nie zwierzała się ojcu. Bo zresztą z czem miałaby się zwierzać? Zapomniała pewnie o mnie. Bo nie wróciła do domu, choć wiedziała, że ja tu przybędę...

Ciche westchnienie, jakby żałosna skarga, wyrwało się z piersi Zdzisława. Zamyślił się głęboko. Chwil kilka spoczywał w zupełnym bezruchu.

— A jednak ja nie mogłem o niej zapomnieć! — westchnął mimowoli głośniej.

— Kogo pan nie mógł zapomnieć? — zabrzmiał naraz nad nim jakiś gardłowy głos. — O kimże pan tak marzy?...

Zdzisław zerwał się na równe nogi. Przed nim stał wysoki, może około trzydziestodwu - letni mężczyzna, uśmiechający się doń przyjaźnie.

Nieznajomy miał na sobie jasne ubranie, na głowie zaś duży, słomkowy kapelusz, który rzucał cień na podłużną, nieregularną twarz, upiększoną czarnym wąsikiem i takiegoż koloru przystrzyżoną bródką. Z pod dużych okularów w ciemnej rogowej oprawie, patrzyły czarne, żywo błyszczące oczy, stanowiące dziwny kontrast z poważną fizjognomią twarzy.

Zdzisław rozpogodził oblicze.

— A..., to pan Tulczyński? — przemówił wesoło. — O kim-że ja marzę, pan pyta? Chyba o nikim. Rozkoszuję się cudownym krajobrazem żywej przyrody.

Przybyły badawczo popatrzył na młodzieńca, a potem wzrok jego pobiegł w kierunku willi. Nieznaczny uśmieszek zaigrał na jego ustach.

— Może się mylę — rzekł, sugestionując wyrokiem Zdzisława. — ale sądziłem, że przedmiotem pańskich myśli była żywa istota, o wyglądzie chyba samej bogini piękności. Bo wzdychał pan tak często.

— Zdawało się panu, panie Tulczyński.

Nazwany Tulczyńskim rozejrzał się dookoła.

— W każdym razie wybrał pan doskonałe miejsce do marzeń — uśmiechnął się. — W otoczeniu tesknо szumiących brzóz, mając przed sobą prześliczny pejzaż natury można bez żadnych przeszkód oddać się marzeniom... Można wywoływać w wyobraźni postać ukochanej dziewczyny...

Zdzisław z nagłem zainteresowaniem uważniej przyjrzał się swemu rozmówcy.

— Czyżby to było pod moim adresem? — pomyślał nagle zaniepokojony. — Ale skąd on mógłby wiedzieć?...

Zaś głośno rzekł:

— Pan fantazjuje, panie Tulczyński. Poznać zaraz, że pan jest literatem.

— Dlaczego?

— Bujna wyobraźnia — to nieodzowny przymiot powieściopisarzy i wogóle wszystkich literatów.

— Przytyk! — Tulczyński zaśmiał się trochę nerwowo.

— Ależ, broń Boże! — zawołał wesoło Zdzisław. — Widzę, że pan jest dzisiaj w dobrym humorze. Powraca pan ze spaceru? — zapytał, chcąc zmienić temat rozmowy. — Tak... W takim razie we dwoje wrócimy do willi. Oczywiście, jeśli moje towarzystwo nie zostanie wyeliminowane...

— Bynajmniej. Pan jest bardzo miłym człowiekiem i właśnie w tej chwili myślałem, że z pana byłby wyborny towarzysz przechadzek, panie Doniecki. Umie pan doskonale podtrzymywać rozmowę.

— Dziękuję za komplement — zaśmiał się Zdzisław, biorąc kapelusz z ławki. — Idziemy już prawda?

W milczeniu przebyli park i wąską dróżką skierowali się w stronę jeziora, gdzie w dali, ponad lustrzaną taflą, rysowała się panorama wioski, wraz z przylegającym do jeziora letniskiem.

— Pan nie bardzo lubi gwarne towarzystwo na plaży? — zagadnął Zdzisław swego towarzysza. — Bo zdążyłem już zauważyć, że nad plażę, przenosi pan samotne spacery...

— Nie zawsze — odparł wolno Tulczyński. — Niekiedy lubię przebywać w wesołem towarzystwie, porozmawiać z niektóremi przedstawicielkami płci pięknej, ale więcej lubię samotność... Pan rozumie — zależnie od usposobienia. Zresztą nie mam powodzenia u kobiet...

— Taaak?... — Zdzisław zaśmiał się tajemniczo. — Tylko, że przedstawicielki płci nadobnej utrzymują zgoła coś innego. A szczególnie panna Zofja Niewiarowiczówna.

Tulczyński zmieszał się przez ułamek sekundy. Ledwie dostrzegalna chmurka przeszła po jego twarzy.

— Panna Zofia Niewiarowiczówna?... — powtórzył, marszcząc łukowate brwi. — Nie znam jej chyba. Cóż to za jedna?

— Pan jej nie zna? Ależ niech pan nie udaje, panie Tulczyński. Nie pamięta pan tej ładnej blondynki z nad jeziora? Przecież przedwczoraj był pan w jej towarzystwie...

— Ach, to jest ta blondynka. Teraz przypominam sobie... Więc pan mówi, że to panna Zofia Niewiarowiczówna...?

— A tak. Ona sama.

— Ona miałażby o mnie...?

— Nie inaczej. Panna Niewiarowiczówna jest już zakochana w panu. Sam słyszałem o tem z jej ust, przyczem dodatkowo dowiedziałem się ważnych szczegółów z pańskiej przeszłości.

Tulczyński naraz przystanął. Spojrzał na Zdzisława niespokojnemi oczyma.

— Z mej przeszłości?... — powtórzył jakby drżącym głosem.

Potem chwycił Zdzisława za rękę i ściskając ją bezwiednie, pytał zmienionym, przytłumionym głosem:

— Co panu o mnie powiedziano?!... Co się pan dowiedział?...

Zdzisław spojrzał na niego zdumiony. Uwolnił najpierw swoją rękę z uchwytu towarzysza, potem podejrzliwie obserwując go z pod oka, odparł:

— Mnie nic o panu nie powiedziano. Mimowoli tylko podsłuchałem w lesie rozmowę pewnych osób, które widocznie bardzo interesują się panem. Może opowiedzieć o tem panu obszerniej?

A widząc, że Tulczyński milczy, rozpoczął:

— Przedwczoraj po południu wybrałem się na przechadzkę do lasu, pan wie, tego najbliżej jeziora. Słońce prażyło niemiłosiernie, to też czemprędzej zaszyłem się w gąszczu i ległem w przyjemnym cieniu. Bezmyślnie obserwowałem skrawki błękitnego nieba, widniejącego pomiędzy konarami drzew, gdy naraz w pobliżu dały się słyszeć przytłumione śmiechy i głośna rozmowa. Mocno zaintrygowany nadstawiam ucha i ostrożnie odchylam gałązki. Obok przechodziły dwie młode dziewczyny. W jednej z nich poznałem pannę Zofię, drugą natomiast była panna Melania, pokojówka państwa Krańskich. Rozmawiały...

— O mnie?...

— Tak, o panu, panie Tulczyński... „A czemu on nie przychodzi na plażę? — mówiła panna Niewiarowiczówna. — Dlaczego unika towarzystwa? Czy ma jakie zmartwienia? Czy naprawdę jest jeszcze kawalerem?“ — „Panna Zofia coś bardzo interesuje się tym panem Tulczyńskim“ — zaśmiała się pokojówka. „Och, ty trzpiocie! — mówiła zmieszana panna Zofia. — Zresztą powiem ci otwarcie, Melanio, bo wiem. żeś roztropna i nie powiesz nikomu. Ten pan Tulczyński jest trochę podobny do kogoś, którego ja znam, dlatego podoba mi się i...“ — Zniżyła głos do szeptu prawie, tak, że nie mogłem dosłyszeć końca zdania. Za to pokojówka śmiała się przekornie i wykrzyknęła: „O, zaraz to spostrzegłam!“ — Ale będę się streszczał. Otóż panna Niewiarowiczówna wybadywała pokojówkę państwa Krańskich o wszystkiem, co tyczyło się pana: Czem się zajmuje? Dlaczego nosi zarost? Jak długo tu zabawi? Czy to prawda, że zakochał się nieszczęśliwie i tutaj szuka lekarstwa na rany swego serca?... I dalej w tym sensie, przyczem nie oszczędzono i mej osoby... Nie chcąc jednak być świadkiem tych poufnych zwierzeń i mimowoli dalej podsłuchiwać, chrząknąłem parę razy głośno, na co obie dziewczynki obejrzały się, jak dwie spłoszone sarenki.

Zatem widzi pan, że młode kobiety interesują się nim bardzo, a tylko od pana samego zależy... Ale co panu jest, panie Tulczyński?...

Zdzisław teraz dopiero spostrzegł zmianę na twarzy swego towarzysza. Bowiem Tulczyński wyglądał w tej chwili jakgdyby znosił najgorsze męczarnie. Twarz miał wykrzywioną dziwnym grymasem, usta silnie zaciśnięte, a oczy pałały mu niesamowicie. Oddychał szybko...

— Co panu jest? — powtórzył naprawdę zaniepokojony Zdzisław.

Młody człowiek wejrzał na niego pałającemi oczyma i westchnął ciężko.

— Nic... to jest... wspomnienie przeszłości — wykrztusił tylko. — Ale już przeszło.

Widocznie dużo wysiłku kosztowało go opanowanie wzruszenia. Wyprostował swą postać, a twarz jego znowu przybrała normalny wyraz, jeno na środku czoła pozostała widoczna głęboka brózda. Także ręka, wsparta na trzcinowej laseczce, drżała jeszcze, świadcząc o codopiero przebytej wewnętrznej burzy.

— Pan mi wybaczy tę chwilę słabości — rzekł niezmiernie smutnym głosem z pod okularów spoglądając na Zdzisława. — To odezwała się stara, niezagojona jeszcze, rana serca...

Zdzisław rzucił mu współczujące wejrzenie.

— Ja raczej powinienem przeprosić pana, że poruszyłem tak drażliwy temat i, choć niechcąco, sprawiłem panu przykrość. Ale ja nie przypuszczałem wcale, że podsłuchana w lesie rozmowa oparta była na prawdziwych faktach.

Tulczyński roześmiał się głośno i, jak się zdawało, nieszczerze.

— I mnie dziwno — rzekł — jakim sposobem panna Niewiarowiczówna dowiedziała się, że kochałem się bez wzajemności. Przecież nikomu się z tem nie zwierzałem...

I głośniej dodał:

— Och, kobiety! One wszystkie są jednakie. Lekkomyślne, podstępne i niewierne. A ich języki są niedoścignione!

— Wydaje pan zbyt surowy sąd o kobietach, panie Tulczyński — zaprotestował Zdzisław. — Takie, jak pan mówi, to tylko wyjątki. Są kobiety doskonałe i pod każdym względem godne uwielbienia...

— Być może... być może.

— Nie „być może“ — myślał Zdzisław — ale są napewno. A przynajmniej znam jedną taką!

I przed oczyma jego duszy przesunęła się wysmukła postać jasnowłosego dziewczęcia, którego niezatarty obraz już od dłuższego czasu pieścił w swem sercu. Dziewczę to poznał zeszłego roku tutaj właśnie. Zachwycił się jej wdziękiem, urodą i... pokochał od pierwszego nieomal wejrzenia. Nie danem mu jednak było poznać się z nią bliżej. Zmuszony bowiem był wrócić niezwłocznie do miasta. Wyjechał i już nie widział jej więcej. Mijały tygodnie i miesiące, ale obraz pięknej Janki Krańskiej nie zatarł się w jego pamięci. Przeciwnie. Coraz częściej odtwarzał w duszy postać uroczego dziewczęcia, przyczem jakieś dziwne uczucie opanowywało jego serce. Tęsknił... W miarę upływu czasu tęsknota wzmagała się i nieraz była tak silną, że wywoływała nawet reakcję.

— I za kim tęsknię? — buntował się w takich chwilach. — Dziewczyna pospolita, jak inne! Piękna?... To prawda. Ale znam dużo innych, również pięknych kobiet; nawet może piękniejszych. Trzeba raz przestać myśleć o niej... Zapomnieć trzeba i kwita! Najlepiej pójdę się bawić...

A właśnie: bawić! Był przecież zaproszony na dzisiejszy wieczór do państwa R. Ładna i miła Helutka R., która już od dawna wodziła za nim rozmarzonemi oczyma, urządziła bal rodzinny, z okazji 19-tej rocznicy swych urodzin.

I poszedł. Bawił się, flirtował na zabój, ale po powrocie do domu gasła wymuszona wesołość. Wracały znowu wspomnienia... uczucie beznadziejności wkradało się do jego serca. Tęsknił za Janką, przywoływał ją myślami ku sobie, nie mogąc zapomnieć tych kilku chwil, jakie wówczas spędził na rozmowie z nią.

Wreszcie w głowie jego skrystalizowało się niezmienne postanowienie: Musi zobaczyć tę, która była powodem jego udręczeń! Musi choć raz ujrzeć tę dziewczynę szkaradną i... kochaną!

I jednego pięknego lipcowego poranka spakował walizę i cichaczem wyjechał z miasta, aby wylądować w miejscu zamieszkania dziewczyny...

Zbigniew ocknął się z zadumy i spojrzał na Tulczyńskiego. Towarzysz jego twarz miał zachmurzoną i głowę zwieszoną na piersi.

— Też dziwny człowiek — pomyślał. — Musiał już chyba dużo cierpieć.

Doszli właśnie do jeziora. U ich stóp woda pluskała łagodnie o niski brzeg, wydając ciche, monotonne szmery.

Skierowali się na aleję, biegnącą wzdłuż ogrodu, położonego w bezpośredniem sąsiedztwie willi „Aurory“. Tu zwolnili nieco kroku.

— Panie Doniecki, — milczenie przerwał Tulczyński. — Co uczyniłby pan, gdyby całą duszą pan pokochał bardzo piękną dziewczynę, a ona nie odwzajemniłaby się panu podobnem uczuciem?

Jeśli Zdzisław spodziewał się czego, to nigdy takiego pytania. To też zdumiał się niemało usłyszawszy je. Spojrzał też na Tulczyńskiego takim wzrokiem, jakby chciał oczyma wyczytać ukryte w jego głowie myśli i poznać właściwą przyczynę tego pytania.

Ale Tulczyński nie widział tego i nalegał dalej:

— ...Gdyby umiłowana dziewczyna z szyderstwem odrzuciła pańskie oświadczyny i temsamem pozbawiła go wszelkich nadziei, że posiądzie pan czarowną istotę, bez której nie mógłby pan wyobrazić sobie życia... Co uczyniłby pan wtedy?...

(Dalszy ciąg w następnym numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

PROŚBA O LIŚCIKI

„Martusia — Ostrowianka" czyta już półtora roku „Moje Powieści", ale dopiero w tych dniach zdecydowała się napisać do nas i poprosić o przyjęcie do „Krainy"...

Życzeniu Twemu, „Martusiu", czynię z chęcią zadość, t. zn. przyjmuję Cię do „Krainy" i przedstawiam Cię gronu Sympatyków za pośrednictwem Twego liściku:

„Pseudonim mój to: „Martusia — Ostrowianka". Jestem 18 letnią jasno-blondynką, lubię muzykę, śpiew, tańce, piękne robótki, a poza tym przepada wprost za podróżami i wycieczkami.

„Blondynie"! — Czy zechciałbyś napisać do mnie? Odpowiedź prześlę z przyjemnością i bez najmniejszej zwłoki. Zasyłam pozdrowienia dla: „Marty" — „Starej Panny" i wogóle wszystkim Sympatykom i Sympatyczkom „Krainy" ślę moc pozdrowień i proszę ich o liściki.

Na „dowidzenia" dorzucam jeszcze kilka słów: pisz do mnie „Martusiu", dużo i często i bądź pewną, że tę „cząsteczkę sympatji i życzliwości", o którą prosisz, już na wstępie sobie u mnie zaskarbiłaś. Żegnaj i przyjm ode mnie moc uścisków!

WYMIANA KSIĄŻEK

„Bibljofil II." Pragnęłabym przysporzyć Panu radości i zadowolenia, dlatego bez jakichkolwiek zmian, zamieszczam list Pana i życzę Panu serdecznie zdobycia jak największej ilości nowych książek.

„Nadchodzi jesień, a z nią długie, długie wieczory... ze wszystkich kątów wychodzi powoli pustka i... nuda, a zwłaszcza na wsi, gdzie naprawdę z braku odpowiedniego towarzystwa można nieraz „zanudzić" się. Pozostaje jednak coś, co tę „nudę" może zabić — to książka. Książka to mój przyjaciel, niestety, brak mi jej. Posiadam małą biblioteczkę, ale już kilkakrotnie przeczytaną. Obecnie chciałbym ją zamienić na pewien okres z innym właścicielem biblioteczki. Czy znajdzie się taki? O ile tak, służę moim adresem: poste — restante, pocz. Jaraczew Wlkp. dla „Bibliofila".

KTO „ZA", A KTO „PRZECIW"...

„Taki jeden". Po zamieszczeniu liściku „Ryśki D." powstały w „Krainie" dwa obozy. Jedni piszą do mnie w ten sposób:

„Pragniemy, aby pozostała Pani dla nas nadal tajemniczą — chcemy, aby była Pani dla nas taką, jak ją sobie wyobrażamy... gorąco popieramy liścik „Ryśki D."

Drudzy przyjęli prośbę „Ryśki" wrogo:

„Nie rozumiemy „Ryśki D."!.... Pragniemy Panią poznać — chociaż z fotografii, jeżeli nie możemy osobiście!"...

Do obozu wrogiego zalicza się i Pan. I Pan pragnie mnie zobaczyć... Jestem w rozterce, tym większej, że nie wiem, jak z niej wybrnę. Chyba odwołam się do zdania wszystkich Sympatyków i o ile większość wypowie się za zamieszczeniem zdjęcia — zamieszczę, o ile zaś nie, pozostanę nadal tajemniczą... a wtedy będzie Pan zmuszony rzeczywiście przyjechać do Żnina.

Sympatyczny dopisek Pana będzie zakończeniem mej odpowiedzi:

„Zapytuję się „Mileny", czy zechciałaby nawiązać ze mną kontakt korespondencyjny?...

Równocześnie przesyłam moje najserdeczniejsze uznanie dla wszystkich tych, którzy pisują piękne wierszyki i zamieszczają je w „Krainie". Wujkowi Januszowi gorąco dziękuję za tomik poezyj: „Sercem do Was"...

„CZY PRZYPOMINA SOBIE PANI?"

„Waldy". „Czy Pani jest zadowolona z powierzonego Pani działu pracy?..."

Naturalnie, Drogi Panie Waldy! Praca moja jest mi całym światem — ukochałam ją ponad wszystko i nie wyobrażam sobie życia bez niej. Praca jest dla mnie szczęściem i jasnem słońcem. Czy mnie teraz Pan rozumie dlaczego tak chętnie wychodzę ludziom naprzeciw i radabym im nieba przychylić?...

Część listu, przeznaczoną dla Sympatyków, tak, jak Pan sobie życzy oddaję do przedruku:

„W pierwszym rzędzie odwzajemniam w moim i „Jerzego" imieniu każdą poczynioną o nas wzmiankę Milutkich Czytelniczek — serdecznemi pozdrowieniami.

Specjalne pozdrowienia wraz z uściskiem dłoni załączam dla p. Irki O. z Będkowa i p. Halszki Z. z Torunia.

Hallo! P. Irko O! zapewnie przypomina sobie Pani studenta z dancingu w E., który zamęczał Panią tangami? Była Pani wówczas z koleżanką i adwokatem R. W toku milutkiej rozmowy, wspomniała mi Pani, że abonuje „Moje Powieści".

A Pani, Pani „Halszko", czy była na kursie języka węgierskiego w Budapeszcie? O ile się nie mylę był to ostatni Pani lektorat?"



„Kocha nie kocha" — wróży sobie „Złoteńko", przemiła Sympatyczka „Krainy".

ŻYCZENIE

„Czarnulka z Grudziądza". Treść pocztówki Pani przyjęłam do wiadomości. Życzę Pani powodzenia i dużo zadowolenia w nowym środowisku pracy i serdecznie pozdrawiam.

ŻAŁUJĘ BARDZO...

„Samotna Oleńka". Żałuję bardzo, że będąc w Żninie, nie wstąpiłaś, Kochanie, do redakcji. Z przyjemnością zamieniłabym, z Tobą kilka słów i popatrzyłabym na Twoją pogodną i uśmiechniętą twarzyczkę.

Pozdrowienia dla: „M. Rysi" — „Tabu" — „Lorda Stephensona" — „Szarego człowieka" — „Gorzkiego orzecha" i p. Hilarego Szmula z Gniewkowa — przekazuję!

UŚMIECHAM SIĘ DO PANI...

„Smutna Indjanka". Nareszcie zobaczyłam Panią na fotografii! Czy zawsze jest Pani tak ogromnie smutną i cichą, jak na nadesłanym zdjęciu? Uśmiecham się do Pani, „Smutna Indianko" i proszę, również uśmiechnąć się do mnie!...

Wyobrażenia Pani o mnie są nadzwyczaj trafne. Podziwiam świetną intuicję Pani, jak również i trafność określania charakteru.

Pozdrawiam Panią jak najserdeczniej i na zakończenie oddaję jeszcze głos Pani:

„Niesympatycznemu Edzie" — „Miłemu Szatynowi" i „Ananke" — przesyłam moc pozdrowień. Który z wymienionych Panów zechce napisać do mnie?

Hallo! „Marzycielu z pod Kościana"! Dziękuję Ci za nadesłane pozdrowienia! Przesyłam Ci również moc pozdrowień i szczery uścisk dłoni.

„Let"! Czy należy Pan jeszcze do „Krainy"? Pragnę nawiązać z Panem korespondencję — czy zgoda? Przyrzekam dać szybką odpowiedź!"

ADRESY

O adresy, celem przesłania listów, znajdujących się w redakcji są proszeni: „Irka z Torunia" — „Hiacent" — „Słoneczny Uśmiech" — „Czarnobrewka II." — „Czarny Saturn" — „Jesienny uśmiech" — „Jasne Słoneczko" — „Samotna Kukułka" — „Samotna Kazieńka" — „Dziewczynka II." — „Krysztyałek" i „Ord—Om".

TROCHĘ BEZTROSKICH WSPOMNIEŃ Z WAKACYJ...

„Łobuz z pod ciemnej gwiazdy". Dziękuję Pani serdecznie za bardzo długi i ciekawy liścik. Zamieszczam go niżej w skróceniu, bo wiem, że będzie podobał się wszystkim i wszyscy go sobie chętnie przeczytają:

„Minęło już kilka tygodni od mojego ostatniego listu. Nie pisałam tak długo ,bo przyjechały do moich znajomych młode i sympatyczne Lwowianki. Służyłam im jako przewodnik i dlatego mało miałam czasu do pisania listów. Uśmiałyśmy się nieraz serdecznie, zwłaszcza, gdy ja mówiłam w gwarze śląskiej, a one w lwowskiej. Podobały mi się u nich takie „powiedzonka", jak np.: „Ta, co ty robisz, ta joj, ja się mamci boję, ja już pójdę do domciu".

Wakacje moje w tym roku wypadły nadzwyczaj miło. Chodziłam często na grzyby, pływałam dużo, a raz znowu poszłyśmy na trzy dni w góry. Szłyśmy z Pilska na Babią Górę, najwyższy szczyt śląskich Beskidów. Z jednego szczytu góry na drugi prowadzą wąskie ścieżyny. Taką właśnie wąską ścieżyną schodziłyśmy ze szczytu góry o zachodzie słońca. Pięknie było, nie przerażała nas nadchodząca noc, czułyśmy się bezpieczne i wolne, jak ptaki. Smreki, szemrały cichutko wieczorne modlitwy. Na niebie ukazywały się powoli złote gwiazdki. A kiedy z za lasu ukazał się księżyc wydawało nam się, że śnimy jakiś piękny sen. Nie rozumiem, jak ktoś może zachwycać się zagranicą, kiedy w Polsce mamy tak cudne krajobrazy. To samo mówiły i moje towarzyszki górskiej wyprawy, Lwowianki, o których już wyżej wspomniałam. Bały się poprostu myśleć, o tem, że muszą znowu wrócić do Lwowa, w dusznе i szare mury.

A teraz kończę już moje wspomnienia i przesyłam moc uścisków Sympatykom „Krainy".

P. A. K. z B. życzę wszystkiego najlepszego i ślę mu jak najserdeczniejsze pozdrowienia".

DLA PAŃ, KTÓRE NIE POTRAFIĄ TAŃCZYĆ

„Oryginał". „Wysoki blondyn, syn wsi, nawiąże korespondencję z jakąś panią ze wsi, któraby naprawdę nie umiała tańczyć, lecz kochała muzykę i książki, a przy tem nie posiadała matury.

Czy moim oryginalnym listem zdołam zainteresować którąś z Pań?"



„Blanka", znana wszystkim Sympatyczka „Krainy" i autorka miłych wierszyków, chętnie urządza sobie spacery za miasto na swym „stalowym rumaku".

MALEŃKIE SPROSTOWANIE

„Elżunia z Torunia". Zaszła maleńka pomyłka — list przyszedł, ale dzień później i stąd wynikło nieporozumienie. 50 gr. przeznaczone na wysyłkę listów, zaliczyłam na prenumeratę „Moich Powieści".

Tomik poezyj „Jadźki z Kujaw" może nabyć Pani w naszej administracji w cenie 0,80 zł.

Na zakończenie ściskam Pani dłoń i nie zapomnam zamieścić zakończenia Pani liściku:

„Nieznanej Zośce" i tym wszystkim, którzy mnie jeszcze pamiętają — przesyłam moc serdecznych pozdrowień. Ci wszyscy, którzy chcą się ze mną skomunikować, niech zechcą listy skierować do p. Zofji, a bardzo chętnie odpowiem.

„Będący w nadziei" wyraził chęć korespondowania ze mną. List wysłałam — czemu niema odpowiedzi?"

„HALLO! „NARCYZIE"!"

„Kochanie". W liście swym, Słodka Dziewczynko, zawarłaś najpiękniejsze marzenie dziewczęcego serduszka. Brak mi słów na to, aby Ci powiedzieć, jakie wrażenie wywarł na mnie Twój liścik, ściskam Cię więc tylko, choć z oddali i życzę Ci gorąco, aby Ten, którego tak ogromnie miłujesz, rozumiał Cię i doceniał...

Napisz do mnie znowu!...

„Moje Powieści" powinnaś otrzymywać regularnie i nieuszkodzone — w przeciwnym razie winę ponosi poczta.

A teraz jeszcze wiadomości dla „Narcyza":

„Hallo! „Narcyzie"! Posiadam „Faraona" i chętnie Ci powieść tę wypożyczę. Podaj, mi więc, proszę, swój adres, a zaraz Ci książkę wyślę".

OFIARUJĘ PANI MOJĄ PRZYJAŹŃ

„Panna Lala". Do „Krainy" przyjmuję Panią z otwartem sercem. Brak Pani kogoś życzliwego i bliskiego, a więc niech Pani do mnie pisze szczerze i zawsze ilekroć przyjdzie Pani ochota. Pierwsza wyciągam do Pani dłoń i ofiaruję moją przyjaźń. Czy przyjmie ją Pani?

Pozdrowienia, załączone przez Panią dla: „Iry - Pomorzanki", „Lilki", „Leśnej Rusałki" i p. Danuty Wyrybkowskiej — przekazuję!

NIE LĘKAJ SIĘ NIGDY...

„Szare Dziewczę". Bądź zawsze spokojna i pewna siebie, Droga Dziewczynko, chociaż nie zaraz odpowiem Ci na list. Wierz mi, że wszystkich Sympatyków „Krainy" darzę bez wyjątku wielką sympatją i radabym im przychylić nieba. Nie lękaj się więc nigdy, że mogę zostawić Cię w cieniu lub list Twój pokryć milczeniem...

Dopisek z listu „Szarej Dziewczynki":

„Jak najserdeczniej pozdrawiam: „Maleńką Dzidzi" — „Dziewuchę" — „Dzinkę" — „Orlicza" — „Erosa" i „Iucundi agricolae". Równocześnie zapytuję, czy któraś z wymienionych osób nie zechciałaby do mnie napisać?"

„ODPOWIEDŹ DAM SZYBKO"...

„Dzika Cyganka". Za liścik, urozmaicony wspomnieniami z wakacyj — dziękuję Ci, Kochana Dziewczynko i... czekam znowu na nowy.

Dopisek zamieszczam:

„Hallo! „Augustowianko" i „Marzycielu z pod Kościana"! — przesyłam Wam miłe pozdrowienia i bardzo dziękuję za odebrane. Oprócz tego pozdrawiam serdecznie: „Bolka z Bydgoszczy" — „Blondyna" — Anankę" i „Ideał — Romantyka" i proszę wymienionych Panów o listy. Odpowiedź dam szybko!"

CZY ZADOWOLONY PAN?

„Rudi". Czy tym razem zadowolony Pan z załatwienia sprawy, związanej z wysyłką listów? Radabym się coś o tem dowiedzieć. Serdecznie pozdrawiam!

SZKODA!...

„Izarys". Czekałam długo na Panią i jak dotąd — daremnie. Za parę dni ekspedycja wykopaliskowa, zwinie już swoje namioty, a równocześnie z tym faktem upadnie i nadzieja przyjazdu Pani. Szkoda! — chciałam Pani uścisnąć dłoń i zamienić z Panią kilka miłych słów — wielka szkoda!...

Serdeczne pozdrowienia dla „Narcyza" i „Smutnego Stefa", załączone przez Panią — przekazuję".

KTO NAPISZE?

„Marzycielka". Kto z Sympatyków napisze do 20-letniej Wielkopolanki, bardzo miłej i dobrej dziewczynki? Listy przekażę Jej jak najchętniej?

CZY LIŚCIK BYŁ OD „KRÓLEWICZA Z BAJKI"?...

„Alwira". Ciekawa jestem, Droga „Alwiro", czy liścik był od „królewicza z bajki" czy też od zwykłego, szarego człowieka... Zdaję mi się, że raczej od tego drugiego, bo „królewicze z bajki" nie chodzą po ziemi, tylko istnieją w marzeniach młodziutkich panienek i w romantycznych powieściach. Wszak prawda, „Alwiro"?

Kiedy znowu do mnie napiszesz?...

Z SERCEM PO SERCA

„Bijące serce". „Serce me bije —

Nie wiem dla kogo...
A może, może
Ktoś dla mnie drogi,
Gdzieś w świecie żyje?

Wierszyk powyższy przesłał do „Krainy" pewien sympatyczny Pomorzanin, z nadzieją, że Jego proste słowa trafią do czyjegoś dobrego serduszka, które harmonijnie zabije w takt Jego serca.

„MOŻE NAPISZESZ DO MNIE, „IRY"?"

„Lusia — Szczebiotka". Minęły u Pani wakacje, najwięcej beztroskie chwile w ciągu roku, ale nie minęła radość i pogoda, a to najważniejsze. Uśmiecha się Pani do życia i woła: „piękny jest świat i dobre życie!" Oby więcej młodych ludzi, za przykładem Pani, ustosunkowało się w ten sposób do życia.

Część listu Pani, przeznaczonego dla Sympatyków, przedrukowuję.

„Przesyłam moc pozdrowień „Blondynowi" i proszę Go o list. Ucieszę się niezmiernie, jeżeli do mnie napisze. Z odpowiedzią przyrzekam pospieszyć się.

Pozdrawiam również serdecznie i uśmiecham się milutko do „Iry — Pomorzanki". Może napiszesz do mnie, „Iry"?

WYSŁAŁAM

„Szlubak z pod lasu". List wraz z fotografią — wysłałam. Czy otrzymał już Pan odpowiedź? Serdecznie pozdrawiam!

Teczka Wujka Janusza

UCIESZĘ SIĘ...

„Psychoanaliza". Wiersze Pani wypadły blado. Radzę Pani dużo nad sobą pracować i czytywać dużo poezyj. Ucieszę się bardzo, jeżeli kiedykolwiek otrzymam od Pani dobry wiersz i będę go mógł zamieścić. Serdecznie pozdrawiam i życzę Pani powodzenia na polu literackim.

WIĘCEJ PROSTOTY I BEZPOŚREDNOŚCI

„Jurand". Stokroć więcej od wierszy wolę Pańskie listy. W listach bowiem wypowiada się Pan bardzo rzeczowo i miło, podczas, gdy w wierszach jakoś stucznie i niezrozumiale.

Chciałbym ci złotem uwieńczyć skroń
I jak paź wierny leżeć u twych stóp,
Cóż, kiedy w marmur stroisz lica
I kładziesz szczerość na codzień w grób...

W powyższej zwrotce np. brak zupełnie wszelkiego sensu i jakiej takiej logiki. Któż złotem wieńczy skroń i kto ubiera w marmur, lica? Niecodzienne historie! Czyż nie byłoby lepiej powiedzieć powyższej zwrotki prościej, bez sadzenia się na wzniosłości i puste frazesy? Napewno byłoby lepiej! — odpowie mi i Pan sam i każdy inny Sympatyk mojej „Teczki"...

Kończę odpowiedź serdecznemi pozdrowieniami, które zasyłam Panu wraz z szczerym uściskiem dłoni i życzeniem, aby następne wiersze Pana były nacechowane prostotą i zupełną bezpośrednością.

WIERSZE BARDZO SŁABE

„Jarzębina". Bardzo, bardzo słabiutkie są Pani wierszyki. Wątpię, czy kiedykolwiek uda się Pani pisać dobre, skoro nie posiada Pani w tym kierunku żadnych aspiracyj. Radzę Pani szczerze porzucić pisywanie wierszy i powrócić znowu tylko do czytywania ich. To da Pani więcej zadowolenia, aniżeli składanie lichych rymów, które w rezultacie nikomu na nić się nie przydadzą.

Prosiła Pani o szczerość, a więc byłem szczery. Ściskam Pani serdecznie rękę i proszę Panią o częstsze takie miłe listy, jak był ostatni.

WIERSZ NIE NADAJE SIĘ DO „MOICH POWIEŚCI"

„Samotny Tulipan". Nadesłanego wiersza — nie mogę zamieścić, gdyż utwory o podobnym charakterze nie nadawają się do „Krainy".

Za pozdrowienia dziękuję w imieniu p. Zofii i swojem. Odwzajemniam je uściskiem dłoni.

TERAZ JUŻ WIERZĘ...

„Maleńka Dzidzi". Wypromieniałaś znowu, Mało Dziewczynko i po dawnemu rzucasz mi najradośniejsze, najpogodniejsze słowa. Cieszy mnie u Ciebie ta zmiana! Teraz już wierzę, że Marta będzie znowu dawną pogodną i beztroską dziewczynką.

Tysiączne pozdrowienia zasyłam dla Ciebie „Maleńka Dzidzi" i osobne dla p. Harrego. Lubię to imię, gdyż związałem z nim najmilsze wspomnienia z szkolnych lat.



„Tofi" lub wszystkie wolne godziny przepędzać na korcie i z pasją oddawać się białemu sportowi.

Raj kobiet

Kolorowe hafty nadal są modne



J. 77128 a. Oryginalna w kroju bluzeczka z białego lnu, haftowana barwnym jedwabiem.
J. 77127 Śliczna sukienka z błękitnej matowej krepy, z pięknie wyhaftowanemi motywami na rękawach.
J. 77128. Miła bluzeczka z różowej crepe de chine, ozdobiona krzyżykowym, delikatnym haftem.
Krój sukienki można nabyć w naszej administracji w cenie 1,90 zł, kroje bluzeczek — 1,40 zł.

Jakie bywają żony?

Jest ich cały bezlik typów, kategoryj i podkategoryj — jak różna jest pomimo złudnego podobieństwa, jedna kobieta od drugiej.

Są żony męczennice, cierpiętnice, których poświęcenie często na marne idzie lub „bokiem wyłazi".

Są żony „cienie", wiecznie się usuwające i usuwane, nie zajmujące miejsca w przestrzeni, ni skrawka miejsca w sercu małżonka.

Są żony służebnice korne i oddne. Są żony władcze w spodniach lub jupeculottach, które podobno przez pomyłkę przyszły na świat w kobiecem wydaniu, stanowią pokaźny odsetek rodzaju „słabego".

Są żony wierne, wywodzą się jeszcze od Penelopy. Typy na wymarciu, lecz jeszcze nie wygasłe.

„Żony lukrecyjne", inaczej „Messalinkami" zwane. Nazwa pochodzi od cesarzowej rzymskiej Messaliny i Lukrecji Borgija. Odznaczają się wielką pojemnością serca i jeszcze większym zmysłowym zasięgiem.

Są żony a la Mme Recamier „frigidne", lodowe nieprzystępne — jednym słowem — przykładne.

Są żony — dzieci nigdy nie dojrzewające, żony — kochanki (podobno dość rzadkie okazy), żony — matki (świadome i nieświadome), żony — gospodynie (ku utrapieniu służby domowej dość licznie reprezentowane) i żony towarzyszki (poszukiwane lecz niedoceniane).

Są reprezentantki świata zoologicznego, eleganckie lwice (koniecznie salonowe!), wampy z pokaźną dawką sax appelu, przymilne i zdradliwe kotki, uległe baranki, dobroduszne gęsi (pożądane białe) — rozlane kaczusie, napuszone indyczki itd.

Są żony „duchowe", o ciele astralnem.

Są „realne", doczesne (masywne, zażywne) z lekką przymieszką duchową.

Są „dodatkowe", stanowiące dodatek do posagu. Są „rozrodcze" i „eugeniczne". Są żony społecznice" (nie podpadają najczęściej pod kategorję matek i gospodyń). Są kawiarniano - bridgeowe (stanowią monopol 20 wieku!).

Są żony dekoratywne, są i kopciuszkowe. Są luksusowe i są pociągowe - juczne. Są od parady, są i na codzień, te szanowane i te udręczone. Są tolerowane i są ubóstwiane. Skarby i dopusty Boże. Zależne najczęściej od punktu widzenia małżonka, a raczej od szkła w jego oku. Klejnoty, perły bezcenne i zwyczajne gablockie szkiełka. Anioły, djablice i kwoki i bażancice, ponętne, przeciętne, kochane i nielubiane — czczone i maltretowane. Są żony nudne jak flaki z olejem i pikantne jak gulasz z papryką. Są żony „niewyraźne". Są jeszcze Ksantypy i inne typy.

PORADY KOSMETYCZNE

Tajemnica pięknej cery

Zazwyczaj kobiety chcą się robić pięknemi nagwałt, bez trudu i szukania głębszych przyczyn schorzeń skóry. To też salony piękności są przepełnione, szczególnie w okresie karnawału. Niektóre panie zastępują gabinety kosmetyczne domowemi środkami: krem, puder, szminka. Lecz czy to wystarcza? Czy patrząc zrana na jeszcze „niezrobioną" twarz nie przejmuje was niechęć i czy nie myślicie o tem, coby mogło przywrócić waszej skórze dawną elastyczność, świeżość, barwę.

Czy nigdy nie pomyślałyście, piękne panie, że żywe rumieńce, soczystość warg i elastyczność skóry zależą od funkcyj wewnętrznych waszych organów? Nie wystarczy więc masaż i artystyczna szminka do naprawienia skutków złego funkcjonowania wątroby A najgłówniejszym wrogiem jest żołądek, który protestuje zapomocą różnorakich plam, wysypek i wyrzutów przeciwko ostrym i szkodliwym pokarmom, jakiemi jest napełniony, nie mówiąc już o niesamowitych porach ich spożywania. Trudno, zdaje się jest narazie zrozumieć, że jakość pokarmów bez pomocy kremów i masaży utrzyma świeży i młodociany wygląd cery. Ale tak jest. Niema zmarszczek zwiędłej skóry, niema plam, wysypek, pryszczów... A to wszystko za pomocą — jarstwa.

Zastanówmy się, co to jest mięso? Są to trupy zwierząt, spożywane przez ludzi na trzeci, czwarty, a czasem nawet i na piąty dzień po zabiciu, tj. kiedy mięso znajduje się już w stadjum rozkładu i powoduje wielorakie zaburzenia w organiźmie, które z biegiem czasu mogą przynieść niepowetowane szkody dla zdrowia. Lekarze zabraniają jedzenia mięsa więc być mądrym po szkodzie i nie stać się jaroszem w chwili, gdy się przekonamy, że mięso jest po 30 latach z obawy przed arytmetyzmem. Czemuż szkodliwe.

Oprócz jarstwa mniej decydujący wpływ na cerę wywiera abstynencja od wszystkich ostrych przypraw w skład których wchodzi pieprz, papryka, ocet, różne korzenie ostropodniecające itd. oraz od napojów alkoholowych (o biedne miłośniczki cocktail'ów) rozrywane pomiędzy chęcią sprawienia rozkoszy, a pragnieniem posiadania ślicznej cery (nawet od mocnej kawy i herbaty) nie mówię już o paleniu, gdyż to samo przez się rozumie.

Abstynencja — pomyślą sobie niektóre panie — ach, to okropne! Da wam jednak ona inne, zdrowe, czyste, normalne pokarmy, nie drażniące podniebienie ani zmysłów, ale dające możność żołądkowi spokojnie i normalnie funkcjonować. Oczyszczona krew będzie płynąć do wszystkich komórek wartkim strumieniem, nie ociężałym od narkotyków, nie rozrzedzonym od ostrych przypraw, nie wzburzonym sztucznie przez alkohol, ale pełnym istotnej, odżywczej mocy. A na matowej, elastycznej skórze pojawi się normalny rumieniec zdrowia. Rzućcie te sztuczne podniety, któremi zatruwacie swój normalny smak życia i oszukujecie swoje zmysły, dajcie możność słońcu wnieść zdrowie w wasze organizmy zapomocą jarzyn, owoców i miodu tej najcudniejszej esencji kwietnej słodyczy, zebranej przez pracowite pszczoły. Bierzcie wprost od przyrody jej dary, dla otrzymania, których nie trzeba zabijać żywych, myślących i czujnych istot: masło, sery, jaja, ten najistotniejszy pokarm, potrzebny nadewszystko naszemu organizmowi.

HIGJENA I ZDROWIE

Nowotwory w gardle, a czasem - rak

Krtań należy do tej kategorii tkanek ciała ludzkiego, które są często siedzibą spraw chorobowych, zwanych nowotworami. Nazwa powyższa sama określa rodzaj cierpienia: na powierzchni błony śluzowej narządu tworzy się narość czyli guz, który rośnie kosztem otaczających go tkanek do pewnej wielkości, wkońcu często podlega rozpadowi.

Nowotwory dzielą się na łagodne i złośliwe. Pierwsze odznaczają się łagodnym przebiegiem i nie grożą życiu człowieka; drugie bywają większe. powodują ciężkie cierpienia i są niebezpieczne dla życia. W krtani spotykamy zarówno łagodne jak i złośliwe nowotwory (mięsaki i rak). Najniebezpieczniejsze są te ostatnie.

Nowotwory łagodne krtani po dojściu do pewnej wielkości przestają się powiększać, nie wywołują zazwyczaj większej duszności, powodują tylko chrypkę, lub zmianę głosu. Przeciwnie rak krtani zwykle utrudnia bardzo oddech, prowadzi do rozpadu okolicznych tkanek, do spraw ropnych w nich, a nawet do ich obumarcia.

Rak krtani kończy się zazwyczaj śmiercią, albo wskutek ogólnego charłactwa, albo uduszenia, albo krwotoku z rozpadającego się wrzodu rakowego.

Karłowaciejemy, ale jesteśmy zdrowsi od naszych przodków

Nietylko uczeni antropolodzy, ale i szerokie warstwy zwykłych śmiertelników zadają sobie nieraz pytanie, czy objętość ciała i zdolności fizyczne dzisiejszego pokolenia, uprawiającego intensywnie sporty, są większe, niż w czasach, kiedy kultura fizyczna była mało rozpowszechniona. Cały szereg badań porównawczych, prowadzonych ostatnio przez rozmaitych uczonych, zdaje się przemawiać za tem, iż człowiek dzisiejszy — wbrew temu, co się ogólnie mniema — jest lepiej rozwinięty fizycznie, aniżeli nasi przodkowie sprzed kilkuset lat. Zbroje średniowieczne, znajdujące się po dziś dzień w muzeach, są przeważnie tak małe, iż mężczyzna dzisiejszy z trudem może się w nie zmieścić.

Najlepsze wyczyny sportowców starożytnych pozostają daleko w tyle poza osiągnięteml sportu dzisiejszego. Słynny biegacz grecki Feidipides, który miał sprowadzić posiłki na pole bitwy maratońskiej. przebiegł w dwa dni 230 kilometrów, podczas, gdy Amerykanin Sanders „odwalił" niedawno 192 klm. wciągu niespełna jednej doby.

Nie ulega wątpliwości, że stałe zajmowanie się sportem wciągu dłuższego okresu czasu wpływa dodatnio na ogólny rozwój fizyczny, a nawet na rozmiary ciała. Statystyka japońska wykazała, że w Japonii od czasu, gdy ludzie uprawiają systematycznie sporty, wzrost powiększył się przeciętnie o 4 cm. Podobnie wzrosła objętność całego ciała, jak również odporność organizmu.

Jeszcze 30 lat temu uczony francuski Godin wykazał, iż objętość klatki piersiowej, wagi ciała, średnica mięśni i wysokość wzrostu jest większa u osób. które w młodości uprawiały sporty, aniżeli u tych. które się tem nie zajmowały. Do podobn. wniosków doszedł Szwajcar Mathias, profesor Instytutu Antropologicznego w Zurychu, dokonując swoich obserwacyj na grupie osób, zajmujących się systematycznie sportem, i mierząc co pewien czas rozmiary ich piersi i muskułów. Okazało się, iż rosną one proporcjonalnie od czasu trwania praktyki sportowej.

Kilka lat temu, podczas zawodów sportowych w Monachium przeprowadz. ciekawy eksperyment. Zbadano 3.500 studentów, biorących udział w zawodach i okazało się, że wśród osobników nie uprawiających systematycznie sportów, aż 23 i pół proc. miało niedostatecznie rozwiniętą klatkę piersiową, podczas gdy w grupie stałych sportowców, członków stowarzyszeń gimnastycznych, odsetek ten wynosił zaledwie 0,3 proc.

Ze świata

Ameryka posuwa się 50 metrów rocznie

Do najciekawszych odkryć Byrda ekspedycji amerykańskiej do bieguna południowego, należy stwierdzenie, że w tych regjonach lodowych znajdują się także tereny wulkaniczne. Ekspedycja stwierdza że stoki niektórych gór pokryte są kamieniami, których pochodzenie wulkaniczne nie ulega żadnej wątpliwości. Wulkany wśród wiecznego lodu, to brzmi dość oryginalnie i sprzeciwia się naszym wyobrażeniom, łączącym ziejące ogniem góry z krajobrazem tropikanym. Zjawisko to tłumaczy się tem, że regjony lodowe okolic antarktycznych były kiedyś prawdopodobnie krajami tropikalnemi, w których według naszych pojęć wulkany stanowiły uzasadnione rekwizyty krajobrazu.

Według pewnej teorii naukowej, kontynenty zmieniają swoje położenie w stosunku do siebie. Ameryka np. oddala się corocznie od Europy o jakie 50 m. Polegać to ma na tem, że twarda, a niezbyt gruba skorupa ziemi ślizga się po wewnętrznej jeszcze miękkiej kuli ziemskiej, znajdującej się pod nią. Ponieważ kontynenty nie wszystkie są równo grube i z tego powodu ciśnienie ich na wnętrze ziemi jest rozmaite, lekkie kontynenty szybciej się posuwają niż ciężkie Najgrubszą jest prawdopodobnie skorupa w pewnej części Azji. Mniej masywna już jest w Europie. Chińczycy, Perowie, Afgańczycy mają zatem poważniejszy grunt pod nogami niż Europejczycy.

To przesuwanie się kontynentów posiada tedy dla terytorjów arktycznych zasadnicze znaczenie. Położenie biegunów musi się zatem, chociaż jak dla ludzkich pojęć w okresach bardzo długich, także zmieniać. Zmiana położenia wywołać musi oczywiście także silną zmianę klimatu. Być może, że okresy lodowe ziemi są niczem innem, jak tylko skutkiem tego przesuwania się skorupy ziemskiej, zamieniającego kraje tropikalne w regjony lodowe. Gdzie dzisiaj zimno syberyjskie skuło w lód przyrodę, tam jutro żar słoneczny wyczarować może rajską wegetację i mogą się otworzyć ziejące ogniem paszcze wulkanów.

Tak więc niema nic stałego na ziemi, a wygasłe pod wiecznemi lodami Antarktydy wulkany przestają być czemś niezwykłem w wiecznie dokonującej się odmianie zjawisk.

Najwyższe zdjęcie fotograficzne świata

Amerykańskie „National Geographic Society" ogłosiło ostatnio sprawozdanie, obejmujące wyniki naukowe lotu stratosferycznego dokonanego na statku powietrznym „Explorer II". W czasie tego lotu zrobione również zostało zdjęcie fotograficzne, które jest największą dotąd dokonaną fotografią powierzchni kuli ziemskiej. Poraz pierwszy fotografia taka uchwycić zdoła zakrzywienie powierzchni ziemi na horyzoncie. Ponadto fotografia ta ustaliła, iż linia, dzieląca obciążoną kurzem troposferę, otaczającą ziemię, od czystej stratosfery, znajduje się na wysokości 37.000 stóp nad powierzchnią ziemi. Najwyższe zdjęcie na świecie dokonane zostało z wysokości 72.395 stóp. Sprawozdanie Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego obejmuje również szereg interesujących danych naukowych, ustalonych przy odczytywaniu wiadomości zarejestrowan. przez specjalne instrumenty użyte w czasie lotu „Explorer II".

Ogrodnictwo najmilszem zajęciem premiera francuskiego

Prócz urzędowych, bardzo ważnych zajęć, które zabierają premierowi Anglii, Stanlejowi Baldwinowi sporo czasu, znajduje on codzień godzinę czasu na to, żeby zajrzeć do swego pięknego ogrodu.

Trzeba bowiem wiedzieć, że premier Baldwin jest zamiłowanym ogrodnikiem i największą radość sprawiają mu te podarunki, które są nowemi odmianami roślinnemi.

Sędziwy, bo 69 lat liczący premier, oświadczył, że z podarunków, jakie niedawno otrzymał w dniu urodzin, największą radość sprawiła mu nagroda w postaci złotego medalu i 15 szylingów gotówką (20 złotych), przyznane mu na wystawie kwiatów za jego zasługi w ogrodnictwie i sadownictwie.

Świat i życie

Kobiety, które mówią własnym językiem

Wśród plemion stojących na niższym stopniu kulturalnym kobiety porozumiewają się między sobą, zupełnie innem narzeczem, niż mężczyźni.

Kobiety szczepów zamieszkujących wschodnie części Afryki, także kobiety w Borenero zwracają się do siebie w języku nawet zupełnie niezrozumiałym dla mężczyzn. Przyczyny tej „odrębności językowej" należy szukać w tem, że oddawna gnębione kobiety szukały sposobów wzajemnego ostrzegania się, przed niebezpieczeństwem, zagrażającym im ze strony tyranizujących mężczyzn. W każdej rodzinie, z pokolenia na pokolenie, przechodzi owa gwara strzeżona w wielkiej tajemnicy przed uchem mężczyzn. Kobiety z Bornero mają w zwyczaju, dodawania na początku, końcu lub środku każdego wyrazu jakiejś sylaby, którą znają tylko one same. Babki i matki ćwiczą długo, z anielską wprost cierpliwością, swoje wnuczki i córki w tajnikach tajemniczej kobiecej gwary.

Wśród plemion kirgiskich, należy do złego tonu, gdy dziewczęta z dobrych domów, używają słów, któremi posługują się mężczyźni. Surowo również jest im wzbronione wymawianie imion, swych ojców, stryjów i braci, jak również nie mogą używać nazw wielu zwierząt i ptaków. To też dobrze urodzone kobiety plemion kirgiskich, bywają w towarzystwie mężczyzn nadzwyczaj ostrożne w doborze słów, żeby nie narazić się na opinję źle wychowanych — co w konsekwencji prowadzi do zupełnego ich milczenia, mimo, że między sobą są nadzwyczaj wymowne.



Kobiety z Birmanii (Indje) chętnie ubierają się w wysokie, blaszane kołnierze...

U Kafrów zaś, młodsze kobiety, nie mogą „kalać" swych ust wymawianiem imion męskich, nawet najbliższych swych krewnych.

Rozmawiając o ojcu — czy bracie, używają specjalnych określeń, aluzyj i niedomówień, aby tylko nie wymówić męskiego imienia. Zresztą, ma to i swoje dobre strony, gdyż podobno świetnie rozwija dowcip i fantazję.

U Indian w Brazylji kobiety i mężczyźni używają zupełnie innych nazw niektórych przedmiotów, a mieszkanki Boliwii uniedostępniają swój język dla mężczyzn, przez zmienianie końcówek i słów.

Nawet język japoński, miał doniedawna dwie odmienne gramatyki, dwie pisownie: dla dziewcząt i chłopców.

ADAM CZEKALSKI

1)

Radość życia

powieść

I

Sic transit gloria mundi! Tak przemija sława. Cóż to jest właściwie sława? Czem jest? Jakie wartości trwałe posiada? Czy za lat sto powie kto o najsławniejszym: jest? Przenigdy! Był. Był, a więc minął. Trwał pewien okres, mniejsza, dłuższy lub krótszy i — minął, minął bezpowrotnie. Zabłysnął na chwilę, zaświecił jak meteor, olśnił blaskiem swego geniuszu pospolity, bezbarwny tłum, wywołał efekt i odszedł w dolinę cieniów.

Ba! Ale ktoś może powiedzieć, że duch takiego człowieka nadal żyje, wciąż przebywa z żywymi, w dalszym ciągu króluje, włada tłumami; że jego wartości duchowe, zasługi dla kultury, cywilizacji, ludzkości wreszcie — nigdy nie przeminą, ostoją się wieki.

Brednie! To wszystko brednie snobów, burżujów dobrze odżywionych, całej tak zw. inteligencji, która nie zna się wcale na tem, o czem usiłuje wydawać sąd apodyktyczny, za co przyznaje wieńce z liści bobkowych na czoło lub pogrąża bezlitośnie. Ach, ja dziś dopiero widzę, jak ci wszyscy ludzie są przeraźliwie puści i przeraźliwie obłudni! Dziś dopiero. Za późno to już, to prawda, ale przecież lepiej późno niż nigdy. Dziś oni nanic przydać mi się nie mogą, ani ja im już przydatny nie jestem. Bo pomyślcie tylko: i ja byłem sławny, i ja władałem tłumami, i ja byłem ich bożyszczem, ja, Sewer Jarga, pierwszy skrzypek świata, genialny muzyk i genialny duch, dla którego jeszcze rok temu nie było nic niemożliwego na świecie, który wszystko mógł: mieć każdą z tych kobiet, które mnie oklaskiwały i obrzucały kwiatami, pławić się w miłości najbardziej rafinowanej, jak w szampanie, zdobywać miliony, kupować domy i pałace, nurzać się w zbytku najwyszukańszym, ucztować jak Lukulus lub Gargantua, rozrzucać hojnie najcenniejsze perły między te arystokratyczne kobiety, piękne, nieraz nawet bosko piękne, które mnie podziwiały, zasypywały kwiatami i miłosnemi liścikami, pełnemi tajonych westchnień i zapragnień miłości, lub terminów schadzek. Mogłem sobie zamówić w ciągu dnia jednego sto tysięcy obiadów, gdyby mi taka przyszła fantazja, lub z okna mojego pokoju hotelowego wyrzucić sto tysięcy na bruk. Mogłem! Tak, to było wszystko w czasie przeszłym, niegdyś, dawno, bardzo dawno już temu, kiedy byłem... sławny, kiedy byłem bożyszczem tłumów, wielkością uznaną, mistrzem, geniuszem, do którego, jak do światła, zbiegały się wszelkiego rodzaju ludzkie ćmy.

A dzisiaj? Czemże jestem? Niczem, dosłownie niczem. Zaledwie rok minął od mojego ostatniego koncertu, na którym zbierałem niesłychane brawa, wrzaskliwe, obłędnie krzykliwe, kiedy czułem się triumfatorem równym owym największym, jakich znają dzieje, a teraz? Jestem poprostu zerem chodzikiem, włóczęgą bez własnego kąta i bez jutra. Taka ogromna zmiana w ciągu jednego roku; w ciągu dwunastu miesięcy, 365 dni. Cóż znaczy taki okres w życiu człowieka? Nic i wiele. Dla mnie znaczy bardzo dużo. Bo ja z wysokości sławy i zaszczytów spadłem do roli heloty. Gdzież tam! Jestem nędzniejszym od najnędzniejszego z helotów. I co to zdziałało? Jakie moce mogły powalić takiego, jak ja, „tytana"? Moce? Nie było żadnych nadzwyczajności. Zwykły, nędzny, proletariacki tyfus rozbił ten mój tęczowy gmach sławy, który zdawał się być zbudowanym z granitu, z najtwardszego granitu, jaki istnieje na globie ziemskim. A to tylko była bańka mydlana. Tyfus a raczej jego marny bakcylus, który niewiedzieć z czego powstaje, z czego się rodzi — dmuchnął i — koniec. Świetna budowla runęła w jednej chwili, choć budowałem ją latami. Głodem i chłodem, nędzą i poniewierką, potem już triumfalnym pochodem poprzez wszystkie sceny stolic świata.

I oto koniec. Jednej biedy nigdy za wiele. Po tyfusie przyplątało się znowu coś innego. A skutek był tragiczny. Skurcz nerwu prawego ramienia, atrofia muskułu unieruchomiła na zawsze moje ramię. Nigdy już nie podniosę smyka. Nigdy! Przekleństwo! Rozbiłem moje skrzypki na drzazgi, połamałem smyk, rozdałem moje miliony ludziom, którzy byli mi zgoła obojętni, bo nigdy ich nie znałem i anim się domyślał ich istnienia, a potem poszedłem w świat.

Powiecie może, żem popełnił kardynalne głupstwo, tak postępując, bowiem, posiadając majątek, mogłem w dobrobycie dokonać dni moich. Otóż to! Gdybym ja był na miejscu kogoś z was, tak właśnie uczyniłbym, ale, że jestem sobą, Sewerem Jargą — postąpiłem zgoła inaczej. Bo pomyślcie tylko: czy majątek uruchomi mój zastygły nerw? Nie. Otóż właśnie. Czy wy zatrzymacie przedmioty ulubione waszej kochanki, gdy ona was opuści? Także nie. Codziennie i na każdym kroku sprawiałyby wam te przedmioty tysiączne cierpienia, więc ich się pozbywacie, darowując je poprostu stróżowi domu, w którym mieszkacie i nadto zmieniacie mieszkanie.. Bo nawet same gołe ściany tego mieszkania, w którem niegdyś tyle byliście szczęśliwi, wywołują wspomnienia, co ranią. Więc uciekacie od nich, możliwie najdalej i staracie się nie myśleć. Przyjaciele wasi, gdy się o tem dowiedzą, chwalą was za rozum i takt. Z czasem wszystko wraca do status quo ante.

Czemuż ja tak samo nie miałbym zrobić? Dlaczego mnie nie wolno miałoby być postąpić podobnie? Przecież to nielogicznie i niesprawiedliwie, ujmując rzecz po ludzku. Bo czyż mnie nie zdradziła najcudowniejsza z kochanek — Sława? Czyż owo złoto nie jest przedmiotem z nią związanym? przez nią nabytym? Tak jest. Dlatego miałem prawo rozdawać złoto ludziom, których nawet nie znałem, jak wy prawie nie znacie stróża, któremu darowujecie rzeczy po zbiegłej kochance. Zarzucicie mi tu może sofistykę w myśleniu i zacznicie opowiadać o czystości sztuki i idealnem posłannictwie geniuszów. Blaga! Bluff! Postokroć bluff!! Nic niema czystego na świecie, cokolwiek z ludźmi ma łączność! Czystość sztuki! Koń by się uśmiał! Nic podobnego nie istniało nigdy i nie istnieje, albowem wszystko dzieje się dla pieniądza i przez pieniądz. Zaliż nie znacie tego mądrego przysłowia: „Bogaci latami, bogaci mądrością, wszyscy stoją jak słudzy pod drzwiami bogatych w pieniądze." I to jest najczystsza prawda. Ale czystość sztuki! Kłamstwo! Nic podobnego nie znajdziecie na przestrzeni lat tysiąca! Nic. Choćbyście szukali z reflektorem w dzień jasny i słoneczny.

Bo posłuchajcie tylko. Posłuchajcie historyjki powszechnie się zdarzającej, codziennej, ogólnoludzkiej, która i mnie się zdarzyła niegdyś. Niezbyt to dawno wprawdzie było, lecz dla mnie było to „niegdyś", bardzo dawno, bo w przeszłości, która nie wraca. Żadna siła nie wskrzesi przeszłości, nic i nigdy. Przeszłość, jak kwiat, umiera tylko raz, kiedy więdnie.

Koncertowałem w Rzymie, wobec audytorium, które było bodajże jedynem w swoim rodzaju, bo złożone z wybrańców owych dziesięciu tysięcy uprzy-

wilejowanych, arystokracji rodowej, urzędniczej i pieniężnej. Słuchaczami mymi była elita elity, najpiękniejsze kobiety, jakie posiada słoneczna Italia i najbardziej dystyngowani dżentelmeni! Gdyby mi się ich tytuły rodowe urzędnicze i finansowe na łeb zwaliły, zmiażdżyłyby mnie bezwątpienia. Wszystko sztywne i dystyngowanie wysznurowane przed koncertem, pod koniec wpadło w szał zachwytu. Cała scena zatonęła w powodzi kwiecia, które sięgało mi do kolan, a ja sam, nie wiem już dzisiaj, jak to się stało, na ramionach tych sztywnych i eleganckich panów zjechałem do widzów i słuchaczy. Potem zapakowano mnie do jakiegoś pudła samochodowego i zawieziono do najpierwszej z pierwszych restauracyj Romy, gdzie przyjmowano mnie ucztą tak wspaniałą, jak Lukullusowa.

Nazajutrz cała prasa faszystowskiej Italii, a za nią cała prasa świata rozbrzmiała jednym hymnem pochwalnym na moją cześć, a poczta rzuciła na mój stół stos pachnących kopert, zawierających najbardziej namiętne wyznania miłosne. I co powiecie? Ja, który nigdy dotąd nie poświęcałem podobnym listom więcej uwagi, niż moim rękawiczkom, o które nb. starał się zawsze mój kamerdyner, tym razem własnoręcznie rozrywałem te koperty i odczytywałem czułe słowa, namiętne wyznania i płomienne zaklęcia. Bawiłem się doskonale w ciągu paru godzin. Potem, jak mi się zdawało, zapomniałem zupełnie o tem wszystkiem. Pomyliłem się jednak. Coraz częściej zaczęło mi przychodzić na myśl, że przecież i mnie należy się coś z tego rogu rozkoszy, z którego piją ludzie od początku świata aż do dni naszych. I ta myśl tak mnie opętała, że nie mogłem myśleć zgoła o niczem innem, aby mi się ona nie przypominała. Odpędzałem ją jednak uparcie, a skoro przekonałem się, że nie prowadzi to do niczego innego, jak tylko do potęgowania się we mnie tego pragnienia, najchętniej i w całości oddałem mu się. Wkrótce znalazłem przedmiot pożądań, który miał zaspokoić we mnie głód miłości, tak nagle i tak gwałtownie odczuty.

Kim ona była? Jak wyglądała? Córa patrycjuszowskiego rodu o niesłychanie długiem nazwisku, poprzedzonem tytułem hrabiowskim. Lecz ja nigdy nie mogłem tego nazwiska spamiętać, chociaż dość często zapełniałem niem eleganckie koperty. Dla mnie była ona tylko Julia. To mi wystarczało. Nazywałem ją piękną Julią Romea, gdyż — zaiste — piękniejszej od niej kobiety nie widziałem dotąd. Kiedym na nią patrzył, zawsze myślałem o tem, że wszystkie boginie Olimpu musiały składać się na jej piękność z tego, co w sobie miały najdoskonalszego. Tak długo obojętnie przechodziłem obok kobiet, kiedy naraz zbliżyłem się do jednej z nich, doznałem jakby olśnienia i objawienia rzeczy nieskończenie pięknej i nieskończenie doskonałej. Ciało mojej Julii było doskonałością od początku do końca, to też, w pierwszych początkach, nie mogłem się na nią napatrzeć, bo nie mogłem sobie nawet wyobrazić możliwości istnienia rzeczy tak pięknej, jak nią była owa kobieta.

Ona zupełnie nie rozumiała moich zachwytów, albowiem uważała za rzecz zwykłą i powszednią, że jest taką, jaką jest. Śmiała się też często ze mnie żartobliwie i groziła, że o ile nie przestanę w milczeniu wpatrywać się w nią godzinami, nie pokaże mi się więcej. Wtedy ja, lękając się spełnienia tej groźby, brałem do ręki skrzypce. Uważałem, że słowa moje, jakiekolwiekby one były, zawsze będą zbyt ubogie i że do niej, do tej boskiej piękności, wolno mi przemawiać jedynie tonami mych skrzypek, w których siedział zaklęty geniusz melodii i tonów.

Siadywała na niskim taboreciku, wpatrzona we mnie, a ja — zaczynałem grać. Z moich skrzypek sączyły się łzy rozmodleń wiekuistych i wzniosłych, jakby hymny dziękczynne do Stwórcy za to, że dał Julii kształty ciała tak idealnie doskonałe. Potem płynęły rzewne tony wyznań miłosnych, zawsze tajonych, nigdy nie wypowiedzianych i nigdy nawet w marzeniach najtajniejszych nie zdradzonych nikomu. Jak bisiory najcudniejsze płynęły diamentową strugą melodie jedyne, jakie kiedykolwiek grałem, bo to były melodie grane jedynie dla niej i jedynie przez nią wykrzesywane ze mnie. Nigdy potem nie grałem tych melodii i nigdy przy niej nie powtarzałem dwukrotnie tych samych.

Ona rozumiała te słowa, słowa skargi, radości i wyznania, albowiem zdawała się cała być jedną przecudną melodią, jedną i jedyną, którą cherubinowie niebiescy grywali przed Panem.

Dopiero później, daleko później mogłem zdobyć się na słowa i wtedy odnalazłem w sobie nowy talent — talent Demostenesa, o którego istnieniu we mnie nigdy nawet nie myślałem.

Tak nam się zawiązało życie we dwoje, życie, jak w baśni najcudniejszej, jaką znają ludzie. Płynęły nam dnie - perły, z których każda inną miała barwę i kształt inny i żadna nie była podobna do drugiej.

Minęły trzy miesiące szczęścia wiekuistego. Oświadczyłem się i otrzymałem odpowiedź, jakiej się spodziewałem. Potem naznaczono ślub nasz za dwa miesiące. Gazety dzień po dniu trąbiły naszą, już teraz wspólną, sławę, przypominały starość rodu mojej narzeczonej, wyliczały jej zalety doskonałego ciała, ogłaszały moje triumfy dawniejsze i przepowiednie szczęścia, wreszcie drukowały ploteczki najbłahsze o nas obojgu i o przyszłem ułożeniu się naszego życia.

Lecz nagle... ów bakcylus. Skąd się wziął, jakiemi drogami przywędrował do mnie i przyczepił się — rzecz to niezbadana. Ów bakcylus tyfusu nietylko odebrał mi władzę w prawej ręce, nietylko pozbawił mnie przyjaciół, zmusił gazety do milczenia, ale obnażył mi nadto prawdę, której istnienia nigdy nie podejrzewałem nawet. Zdradził mi on mianowicie, że w cudownie pięknem i doskonałem ciele mojej Julii — niema duszy. Rozumiecie — duszy niema.

Od chwili stwierdzenia bezwładu mojego ramienia — stałem się niczem, poprostu niczem. Marnym pionkiem na szachownicy życia, jak miliony mnie podobnych. Cóż byłem wart teraz, gdy grać nie mogłem? Nic, literalnie nic. Jestem zerem, kompletnym zerem. Cóż tedy miałem robić, gdy wszyscy mnie opuścili? Rozpaczać? Łbem tłuc o ścianę? Żebrać litości u tych, którzy mnie opuścili? Przenigdy! Nie dbam o nich i o nic prosić ich nie mam potrzeby. Ja do nich jeszcze wrócę, najmocniej wierzę, że wrócę. I to pomimo bakcylusa tyfusu, pomimo stężenia mięśnia i ich obojętności. Jak się to stanie, w jakiej formie stanę przed nimi — nie wiem. jeszcze nie wiem, ale wierzę, że wrócę...

A tymczasem... Siedzę na ruinach sławy starej Hellady, jem czerstwe placki owsiane, figi, rodzynki i pomarańcze, zapijam to winem, włóczę się po ruinach starych Aten, okradzionych z dzieł sztuki przez kolekcjonerów całego świata, śmieję się radośnie do zgrabnych Greczynek, a gdy noc zapadnie, zawijam się w mój „chiton“ manczesterskiego wyrobu i zasypiam gdziekolwiek w ruinach z wielowiekowym głazem pod głową.

Jest mi dobrze. Poza włóczęgą po całych dniach, nie zajmuję się zgoła niczem więcej. Czasem tylko grzebię w ruinach, wydobywam z nich rzeczy cenne, które odsprzedaję hienom kramarskim z Paryża,

Londynu lub New Yorku i tak mi płyną dnie za dniami, dnie za dniami... Jestem szczęśliwy, bajecznie szczęśliwy. Nie myślę już nawet ani o ludziach, od których uciekłem, ani o całem mojem przeszłem życiu.

Jest mi dobrze!

Krzyczałbym o tem wszystkim włóczącym się tu europejskim i amerykańskim snobom z Kodackami na paskach, ale oni nie zrozumieją mnie przecież. To ludzie głusi i ślepi. Nie widzą prawdy życia, ale szukają jej zawsze tam, gdzie znaleźć jej nie mogą. Pocóż mówić do głuchych? Nie usłyszą wykładanej im prawdy, jak ślepi nie zobaczą kolorów. Zostawmy ich przeto ich własnemu losowi, a sami przenieśmy się gdzieindziej, dalej od tych ruin, gdzie każdy kamień przemawia głosem umarłych wieków i tysiącleci, skarżąc się i pomstując na wandalizm handlarzy, odrywających je od ziemi, z która się zrosły i wywożących do dalekich miast, gdzie oglądają je snoby.

II.

Pierwszy raz w mojem życiu doznaję rozkoszy sielanki w warunkach tak oryginalnych, że gdyby zobaczyli mnie tutaj filistrzy zblazowanego „świata cywilizacji", miałyby ich salony żer nie na jeden tydzień. Ale ja dawno już przestałem dbać o to wszystko, co „ludzie" o mnie mówić mogą.

Tymczasem bowiem jest mi znowu dobrze Mieszkam w szałasie pasterki greckiej, sypiam z owcami, karmię się mlekiem i serem i w długie wieczory, kiedy niebo nabite jest ćwiekami migocących gwiazd i także ogromnie granatowe i ogromnie dalekie — siadam przy ognisku i rozsnuwam przed oczyma mojej pasterki dzieje minione i zamierzchłe jej ojczyzny, słonecznej Hellady. Ona mnie słucha z takiem przejęciem, jakby słuchała baśni o szczęściu, którego daremnie szukalibyśmy na ziemi. I ma wtedy także dziwne oczy. Mam wrażenie chwilami, że takie oczy widziałem już kiedyś, bardzo dawno. Kiedy to było? Wczoraj, przed rokiem czy w prabycie? Nie wiem tego i nie chcę nawet dociekać. Wolę wpatrywać się w oczy mojej pasterki i z nich czerpać natchnienie do tych opowieści, które rozsnuwam przed nią.

Nie znam ani jej imienia, ani jej nazwiska. I nie chcę ich znać. Nazwałem ją w myślach Niobe i tak ją nazywam przed samym sobą. Głośno nie nazwałem jej tak nigdy. Bo i po co? Dla mnie będzie ona zawsze Niobe, tylko Niobe... Sam nie wiem dlaczego ją tak nazwałem. Przyszło mi to na myśl nagle, bez żadnego wyrachowania. Zobaczyłem ją pewnego razu, kiedy małe jagnię złamało nogę — w takiej rozpaczy, że odrazu nasunęła mi się na myśl ta nazwa. Nie mogę spokojnie myśleć, gdy wspomnę tę jej rozpacz. Stoi mi wciąż przed oczyma tragizm jej oczu i całej jej twarzy, gdy tylko wspomnę tę chwilę.

Niobe!

Tak, tylko Niobe wykuta w twardym kamieniu ma podobny wyraz oblicza, gdy traci swe dzieci.

Lecz po co ja właściwie myślę o tem wszystkiem, gdy mi jest dobrze? Nie — dość myśli ponurych i ciężkich. Życie jest tak piękne, tyle cudów daje człowiekowi!

Znalazłem prawdę życia jedyną i kryniczną, dla której warto było utracić sławę i rozkosze.
A imię jej — Prostota.

Cóż może być cudowniejszego nad nią i jakaż ta prawda różna od prawdy ludzi tamtych, których zostawiłem w ich zakłamiu i bladze, a sam wybrałem drogę tak wspaniałą do dalszej podróży przez życie!

Idę przed siebie w tę daleką drogę, a jest mi tak lekko, jakbym nie dźwigał na barkach moich ciężaru życia. A ja dźwigam go przecież, lecz go nie czuję. Bo gdybym odczuł go choć w najbardziej minimalnej części, ona, moja pasterka, podniosłaby część jego i ulżyła memu ciężarowi. Jestem tego pewien. Lecz ja go nie czuję wcale i nie mam potrzeby dzielić się z nikim czemkolwiek.

III.

Wstajemy bardzo rano, zaledwie swit ozłoci te wszystkie wzgórza, pagórki i szczyty. Ja czasem zasypiam dłużej, a wtedy moja Niobe przychodzi do mego barłogu i budzi mnie pocałunkiem w czoło. Ten pocałunek uważa za tak naturalny, że zdziwiłaby się napewno, gdybym ją zapytał dlaczego to robi.

Dlaczego?

Dla mojej bosonogiej pasterki podobne pytania nie istnieją. Całuje mnie, bo tak nakazuje jej jakaś siła wewnętrzna, której nazwać jednak nie potrafi. Mnie te ranne pocałunki jej sprawiają ogromną przyjemność, to też chociaż nieraz nie śpię, udaję jednak śpiącego, aby doznać rozkoszy jej pocałunku.

Ale zdarzyło się raz, że ja wstałem wcześniej od niej i zbliżywszy się do niej, wpatrywałem się przez czas pewien w jej cudownie piękną twarz, która teraz, we śnie, wyglądała jeszcze piękniejszą niż kiedykolwiek na jawie. Rozchylone odrobinę, purpurowe wargi zastygły w jakimś cudownym uśmiechu, wywołanym snem. Pierś, krągła, idealnie foremna, jak najwspanialsza z rzeźb, podnosiła się ruchami falistemi i szybkiemi. Przewspaniale rzeźbiona głowa spoczywała na gęstym zwoju czarnych, hebanowych włosów, ręce rozrzucone szeroko leżały spokojnie.

Boże, jaka ona była piękna! Wzruszenie na jej widok ogarnęło mnie takie, że drżałem cały. A potem... sam nie wiem, kiedy się to stało — pochyliłem się nad nią i na rubinach jej warg złożyłem długi pocałunek, którym zbudziłem ją ze snu. Zerwała się bardzo gwałtownie, wylękła ogromnie. Dłonie skrzyżowała na piersiach, a oczy, te jej dziwnie tajemnicze oczy, wyrażały taki lęk i takie przerażenie, że sam mimowoli cofnąłem się o krok. Cała twarz skurczyła się w takim grymasie strachu, że zgłupiałem kompletnie, nie wiedząc, co myśleć o tem wszystkiem.

— Niobe... — szepnąłem.

Drgnęła. Rysy jej twarzy łagodniały i zatracały ten okropny wyraz, którym tchnęła cała. Teraz dopiero zdawała się poznawać mnie. Nawet próbowała się uśmiechnąć.

— To ty, panie? — spytała wkońcu i odetchnęła jakby z widoczną ulgą.

— Niobe, czy mnie nie poznajesz? — spytałem znowu, zbliżając się o krok ku niej i ujmując jej dłonie. Nie broniła się; nie broniła się nawet wtedy, gdy przyciągnąłem ją do siebie i na mej piersi poczułem jej krągłe, aż gorące piersi. Serce jej biło tak gwałtownie, jakby wylękło się czegoś ogromnie.

Pierwszy promień słoneczny wdarł się szczeliną do naszego szałasu, kilka chwil zadrgał niespokojnie tu i ówdzie, wkońcu spoczął złotem i purpura na włosach czarniejszych od hebanu mojej Niobe.

— Ach, jak już późno! — zawołała nagle i wyrwawszy mi się z rąk, pobiegła do komórki z naczyniami, aby rozpocząć udój ranny. Ja poszedłem za nią, wciąż myśląc o tem dziwnem jej zachowaniu, którego byłem świadkiem przed chwilą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

13)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

— Ta żółta małpa prześladuje mnie! — ledwo pomyślał Ammalat, gdy annamita z tą samą warjacką chytrością w oczach próbował chwycić się za niego.

Wiedząc, czem to grozi, Chan uderzył warjata pięścią w nos.

Potok gwiazd trysnął z jego oczu na spotkanie gwiazdom niebieskim, a w międzyczasie Ammalat odpłynął już na kilka metrów.

— Nie! jak najdalej, jak najdalej od tej ludzkiej kaszy w wodzie, od płonącego okrętu, od annamity, łodzi i wszystkiego...

I, nie oglądając się, powoli popłynął naprzód.

Jakąś dziwną miał pustkę w głowie. Ani jednej myśli! Nie! była jedna krótka i zgasła...

— A jednak list dojdzie, chyba prędziej ode mnie...

Ekspedycja filmowa znowu pracuje

O'Donnel bardzo cenił grubasa Benau za jego fanatyczne oddanie się sztuce filmowej, a zwłaszcza jego przedsiębiorstwu.

Jeszcze na okręcie wspólnie opracowali plan kampanii reklamowej.

— Takie wydatki, wyprawa, wrażenia! — kipiał Benau, jakgdyby mu kto oponował. — I, wreszcie taki sensacyjny film! O tem trzeba krzyczeć na wszystkie strony, trzeba trąbić w takie fanfary, by ze wszystkich otworów dym walił... Szkoda tylko, że nie możemy zareklamować Chana Mugańskiego! Niezasłużone laury dostaną się w całości Gafaniemu. Nawet nie Gafaniemu, gdyż on chce błyszczeć na ekranie pod pseudonimem. Wykombinowałem dla niego „Francesco Peano". To dobrze brzmi! Oznajmimy, że pod tym pseudonimem ukrywa się książe jednej z zdetronizowanych dynastyj... Ale, oczywiście cały punkt ciężkości należy przenieść na obie nasze panie i podać im plan zachowania się. Może pan, dyrektorze, weźmie na siebie ten obowiązek?

— Nie, nie, drogi Benau! W zupełności pozostawiam to panu. Niech pan je musztruje! Doprawdy tak będzie lepiej... Pana one się boją i dlatego będą posłuszne...

— Jak pan rozkaże! — posłusznie zgodził się Benau, zadowolony w duszy z tego, że dyrektor w zupełności polega na nim i z tego, że gwiazdy go się boją.

— Tak będzie lepiej! — powtórzył O'Donnel, — ja nie miałbym wprost odwagi powiedzieć tego, co pan powie.

Wyraziwszy uśmiechem i skłonem głowy zadowolenie z racji otrzymanego komplementu, Benau kontynuował.

— Savedrze już powiedziałem: w Nowej Kartaginie podczas corridy, gdy wszyscy trzej matadorzy zostali pokonani i pokaleczeni przez swoich rogatych przeciwników, Savedra wystąpił na ochotnika i po mistrzowsku położył sześć byków z rzędu.

Przecież w Nowej Kartaginie nie było i nigdy zapewne, nie będzie walki byków! — roześmiał się O'Donnel.

— To prawda... Ale komuż przyjdzie do głowy dopytywać się i sprawdzać? Najważniejsza rzecz — niech o tem piszą! I z fotografją! „W tym samym kostjumie znakomity Antonio Savedra... itp." Donkundzie, z wielkim trudem wpakowałem do głowy, że on gołemi rękoma zadusił kolosalnego jaskiniowego niedźwiedzia, który błąkał się koło naszego obozu.

— Hm, wie pan... czy tego nie za dużo?

— A czemu?

— Bo w Mursji niema niedźwiedzi, ani jaskiniowych, ani innych...

— Mógł to być taki, który zabłąkał się z innej republiki. Zresztą za Donkundę ja sam będę rozmawiał z dziennikarzami, żeby nie przekręcił wszystkiego, a dziś jeszcze porozmawiam z naszemi paniami.

Benau zaprosił do swojej kabiny na konferencję Mar - Molli i Maniję.

Stolik, papier, ołówki.

— Przedewszystkiem, dumo nasza, gdzie wy obie zatrzymacie się po powrocie do Paryża?

— Ja jeszcze sama nie wiem! — odpowiedziała Mar - Molli.

— A więc ja wiem: w hotelu na placu Vendome! A pani, Manija?

— Ja mam garsonierę przy ulicy Rembrandta...

— Jej się nic nie stanie! Poczeka... A tymczasem pani zamieszka razem z Mar - Molli na placu Vendome. To bardzo ważne: prestige! Tam ze specjalną przyjemnością zlecą się dziennikarze i fotografowie. Teraz — jak najwięcej przygód i porozbijanych męskich serc... Panią, Mar - Molli, porwał... — kombinował Benau, — ostatni wódz ostatniego szczepu czerwonoskórnych, zwany „Orlem Sercem"... Tu leży ołówek i papier, proszę sobie zanotować: „Orle Serce"...

— Czy to potrzebne?

— Bardzo potrzebne! Proszę pisać! W Paryżu nie będę miał czasu na pogawędki z wami. Trzy dni wódz trzymał panią w niewoli w swoim wigwamie. Na czwarty cała grupa zaatakowała Indian, odbiła panią i „Orle serce" padł w walce... Donkunda przerąbał go siekierą na dwie części, aż do tego miejsca, skąd nogi rosną...

— Panie Benau, to już prawdziwy bałagan! — nie wytrzymała Mar - Molli.

— A pani co myślała? Pewno, że bałagan... Publiczność jeśli i nie uwierzy wszystkiemu, to wszystko połknie i wreszcie podług kontraktu pani jest zobowiązana poddać się reklamie, dla pani stworzonej przez dyrekcję, o ile ona nie dotyczy pani kobiecych cnót. W tym wypadku pani cnota tryumfuje: Wódz „Orle serce", nie zdążył i nie śmiał porwać się na nią... Czy jest pani zadowolona?... Więc, więc... proszę się jeszcze uśmiechnąć!... Pani piękny uśmiech, jak słońce, oświetlił moją kabinę. Zanotowane? Teraz Manija... Pani, jako wamp, musi dać nam jak najwięcej nieboszczyków... Mniej, jak na cztery samobójstwa nie zgadzam się!

— Może pan podwoić tę liczbę! — wspaniałomyślnie pozwoliła Manija.

— Nie, pocóż? Nie należy przesadzać! I czterech, dość... Tylko kto? Proszę pisać: król gumy — to coś nowego i nie banalnego! Król gumy zastrzelił się wodą — proszę nie patrzeć na mnie tak! — nabój z wody jest groźniejszy od każdej innej kuli!... Woda na drobne kawałki rozsadza czaszkę. Bardzo efektowne! Rzecz oczywista, że to się działo w pani obecności. Mózg nieszczęsnego obryzgał pani suknię. Zaraz wykombinujemy dalszych trzech, z których każdy inaczej zakończył życie z nadmiaru miłości do pani... I proszę po tem wszystkiem powiedzieć, że Benau ma złe przytwierdzony język i słabo pracującą fantazję... C. d. n.

Wśród warjatów

czyli
Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 106

„Dobrze,“ zawołał Kazimierz drżącym głosem, „niechaj zbrodnicze fale zaleją mój dom, — niech mnie porwie piekło w swe szpony i odwróci od nieba! — Kobieto, ryzykuję moje życie. Każdy pocałunek zbliża mnie o jeden krok do grobu. Nie mogę inaczej! — Zapomniałem o przysięgach, — zaprzepaściłem honor, — i całe szczęście! Lolu, weź mnie, — jam twój! — Lolu, nie gardzę tobą, tylko czuję wstręt do samego siebie!“

Kazimierz pochylił się nad rozkoszną kobietą, która otwarła z tryumfem ramiona na przyjęcie umiłowanego mężczyzny.

Księżyc oświecał tajemniczem światłem cały pokój. Biała koszula kobiety tonęła w morzu bladych promieni, gdy nagle —

Oczy Kazimierza spoczęły z dziwnym wyrazem na koszuli Loli.

Piękna, czarująca kobieta była przekonaną, że jej piękne wdzięki oszołomiły zupełnie Kazimierza.

Lecz nie, — omyliła się! Nie wdzięki zmroziły krew w jego żyłach, — lecz koronki koszuli. — Blade światło księżyca ożywiło te koronki! Czy to możliwe, — haft tworzył słowa, — całe zdanie. —

Teraz pojął całą treść. Było to imię, które jeszcze przed chwilą było najdroższem dla niego, — imię, tworzące treść jego życia, — święte imię, jak sam Bóg. — Nie, nie, nie! — Nie mylił się, nie był szalony! Czytał wyraźnie słowa, które w jednej sekundzie zburzyły cały czar i upojenie.

Te słowa zatrzymały Kazimierza nad brzegiem przepaści i sprowadziły go na bezpieczne miejsce. Okrzyk rozpaczy brzmiał z tego małego haftu.

Kazimierzowi zdawało się, że całe zdanie pali się jasnym płomieniem. Drżącemi wargami szeptał i czytał:

„Nie jestem obłąkaną. Mój duch nie cierpi. Kto mnie wybawi z domu wariatów? Anielcia Dubois.“

„Kazimierzu, — ukochany, — co ci się stało?“ mówiła Lola i zarzuciła mu na szyję swoje śnieżne ramiona, — „dlaczego drżysz, — dlaczego wahasz się? — Całuj mnie, całuj, bo inaczej zginę z tęsknoty!“

Z ust młodego mężczyzny wydobył się przeraźliwy okrzyk. W tej samej chwili pochwycił grzesznicę za ramiona, jakby ją chciał wyrzucić przemocą z pokoju.

Równocześnie chwycił za haft, zakrywający piersi Loli. Jedno silne pociągnięcie, a haft pozostał w jego ręce. Wyskoczył z łóżka i wskazując ręką



Na ulicach Barcelony i Madrytu można widzieć takie oto afisze propagandowe, wzywające kobiety hiszpańskie do zaciągnięcia się w szeregi czerwonej milicji.

na drzwi, prowadzące do sąsiedniego pokoju, zawołał:

„Precz, podła kobieto! Wynoś się nędzna ulicznico! — Jesteś wolna, — nie oddam cię w ręce kata. — Uciekaj, dokąd cię poniosą oczy. Idź na stracenie, — wcześniej czy później poniesiesz zasłużoną karę!“

Przerażona Lola niepewnym krokiem zbliżyła się do Kazimierza.

W oczach jej było widać teraz przebłyski obłędu i żar gorącej namiętności, której nie zdoła opisać żadne pióro.

Oddychała ciężko. Jej chwiejny chód zdradzał miłosny obłęd.

„Kazimierzu, — Kazimierzu!“ rzekła drżącym głosem, „weź mnie w twoje ramiona, — kochaj mnie, — nie opuszczaj!“

„Precz!“ krzyknął Kazimierz, spoglądając na koronkę, jak na talizman, „precz!“ W ręce trzymam świętość mojego życia, która dopomogła mi do zwycięstwa. Boska Opatrzność, a nie ślepy przypadek złożyła tę koronkę na twoje piersi. Anielcia Dubois, zamknięta w zakładzie doktora Morizano, wyszyła te hafty. Łzy padały na jej robotę a myśli bawiły przy ukochanym mężczyźnie!“

Kazimierz, wymawiając te słowa, przycisnął koronkę do ust, — całował ją, — z jego ócz wytrysnął potok serdecznych łez!

Lola zdziwiła się. Błyskawicznym ruchem zakryła twarz włosami. Z pod tej jedwabnej zasłony wydobyło się głuche łkanie, przerywane oderwanemi słowami:

„Skończyło się! — Zwyciężyła nademną, ta nieprzyjaciółka i współzawodniczka, — zwyciężyła kilkoma jedwabnemi nitkami, — wspomnieniem! — Kazimierzu, bądź szczęśliwy! Nie przeklinam cię, gdyż kocham nad życie. W tej chwili otwarła się przedemną otchłań, do której ciągnie mnie nieprzeparta siła. Przedtem pomodlę się tylko do Boga. Oby cię chronił, — oh, — nie mogę mówić! — Weźcie mnie, furie, siostrzyce piekła, — należę do was! — Kazimierzu, — kocham cię nad życie!“

Szalony, dziki uśmiech rozległ się w pokoju, — poczem Lola rzuciła się ku drzwiom. Po chwili wyjęła klucz. Uciekła do drugiego pokoju i zamknęła drzwi na klucz...

Kazimierz był tak wzruszony, że nawet nie miał siły otworzyć tych drzwi. — Gdyby nie ta okoliczność, to Kazimierz byłby napewno spróbował wpłynąć na Lolę i nawrócić ją na drogę cnoty.

Lecz teraz szepnął do siebie, że właściwie nie potrzebnie troszczył się o tę kobietę. Biedny hrabia zapłakał rzewnie, myśląc o Anielci, o tym świetlanym aniele i o Loli, — straconej grzesznicy.

— — — — — —

Wiatr dął przeraźliwie nad zbiornikiem wody i rzucał falami o brzegi. Biała mgła spoczywała nad Hamburgiem.

Przy budce przewoźnika stał Satanelli i czekał na swoją córkę.

Ha, wreszcie wyłoniła się z mgły. Rzeczywiście! Otulona ciemnym płaszczem zbliżyła się do czekającego mężczyzny. Zasłoniła twarz i szła wolno.

Satanelli zobaczywszy Lolę przeraził się mocno, gdyż jego córka nie miała nigdy takiego błędnego wyrazu twarzy, jak teraz.

„Lolu,“ zawołał Satanelli, „co się stało? Twoja twarz nie zwiastuje mi nic dobrego! — Namyśliłaś się pojechać ze mną? Pobyt w Hamburgu grozi nam wielkiem niebezpieczeństwem!“

„Niebezpieczeństwem?“ odparła Lola i chwyciła Satanellego za piersi, „nie pytam o to! Teraz żądam od ciebie sprawozdania. Dlaczego dałeś mi życie? — Dlaczego dałeś mi życie? — Dlaczego wydałeś mnie na ten świat nędzy i rozpaczy? — Ha, chodź teraz ze mną, — zaprowadzę cię na policję, — obydwoje zakończymy życie! Hej, ludzie, — policja! Tutaj stoi Lola, matkobójczyni, — tutaj znajduje się Satanelli, zbrodniarz z Paryża! Nieprawda, dwa tłuste kąski dla was? — Hej, ludzie!“

Satanelli krzyknął z przerażenia, widząc, że jego nieszczęśliwe dziecko straciło nagle zmysły.

„Nieszczęśliwa, co czynisz? Chcesz nas zgubić, — i zaprowadzić na rusztowanie?“

„Na pomoc!“ wołała Lola, „aresztujcie matkobójczynię i króla złodziejów! Na pomoc, ludzie!“

„Szalona, nie myślę iść z tobą do więzienia,“ krzyknął Satanelli, pieniąc się ze złości, „puść mnie, albo —“

Satanelli wyciągnął sztylet z kieszeni i wzniósł go w powietrze.

Lecz Lola chwyciła ojca za szyję i zaczęła go dusić. W tej chwili miała wprost nadludzką siłę.

Nagle błysnął sztylet nad głową Loli. Straszne przekleństwo wydobyło się z ust Satanellego.

W tej samej chwili utkwił sztylet aż po rękojeść w piersi jego córki.

„Nie chciałaś słuchać mojej woli, biedne dziecko,“ szepnął cicho. „Umierasz więc z ręki ojca, zamiast na rusztowaniu.“

Lola upadła na ziemię, jak rażona piorunem. Ręką chwyciła za trzonek noża i wyjęła go z rany.

Krew trysła z jej piersi, z tej piersi, która mogła dać szczęście i rozkosz.

W śmiertelnej walce przewróciła oczy, a po kilku minutach leżała w kałuży krwi, pomieszanej z błotem.

„Boże, — umiera!“ szepnął Satanelli i pochylił się nad swojem dzieckiem. „Nieszczęśliwa, nie było ci danem doznać szczęścia na tej ziemi Zrodzona w grzechu, wychowana w grzechu, byłaś grzechem, i zginęłaś — w grzechu!“

Lola podniosła jeszcze raz głowę, — jej źrenice rozszerzyły się nieprzyjemnie, — otworzyła usta, a z gardła wydarły się urywane słowa:

„Spełniło się przekleństwo matki. — Zginęłam z ręki, która mnie kochała! — Odpokutowałam ciężko! — Zamordował mnie własny ojciec!“

W okolicy dały się słyszeć głosy, widocznie posłyszano wołanie o pomoc. Ze wszystkich stron nadchodzili ludzie.

Satanneli zerwał się i znikł niepostrzeżenie w bocznej uliczce.

Gdy w kilka minut później nadeszli ludzie, Lola wydała duszę Bogu.

Głowa opadła na bruk, oczy zamknęły się na zawsze. Jej rysy tchnęły wyrazem spokoju, a blade wargi zdawały się szeptać:

„Odpokutowałam, — odpokutowałam!“

CCIX.

Matka i dziecko

Tego samego dnia wyjechał Kazimierz do rezydencji, nie przeczuwając, jaki straszny koniec spotka Lolę.

Z rezydencji udał się wprost do zamku Sokolskich. Tutaj przywitał go stary Walenty, ze łzami w oczach.

„Ach, wszystko się tak prędko stało,“ zawołał, „czasem zdaje mi się, że to sen. Nagle dostałem wezwanie ze sądu, bym się udał na zamek Sokolskich, ponieważ baron Lubsza opuścił zamek na łeb na szyję. Pokazało się bowiem, że Zygmunt Sokolski żyje.“

„A biedna, nieszczęśliwa obłąkana?“ badał Kazimierz, „jak się jej powodzi?“

„Źle, coraz gorzej!“ odparł stary Walenty, kiwając siwą głową, „umieściłem ją w zabudowaniu ogrodowem, w którem dawniej mieszkała. Biedna kobieta jest zupełnie wyczerpana. Lekarz orzekł, że katastrofa nastąpi każdej chwili.“

Kazimierz sposępniał. Teraz, gdy gwiazda szczęścia zaświeciła nad domem Sokolskich, zgaśnie to szlachetne życie? Więc nieszczęśliwa męczennica nie spojrzy już nigdy na świat rozsądnym wzrokiem?

„Muszę ją zobaczyć,“ rzekł Kazimierz. „Pojadę do zabudowania w ogrodzie! Kto ją pielęgnuje?“

„Miałem szczupłe środki, panie hrabio,“ odparł stary, wierny sługa, „nie mogłem więc płacić dozorczyni. — Obecnie znajduje się przy niej siostra miłosierdzia.“

Kazimierz wszedł do ogrodu i kroczył po znanych alejach. — Ach, wszystko było mu tutaj dobrze znane.

Po chwili stał Kazimierz przed budynkiem. Otworzył cicho drzwi. W przedpokoju spotkał siostrę miłosierdzia.

„Życzy sobie pan hrabia zobaczyć obłąkaną?“ spytała siostra, — proszę wejść. Niech się pan tylko przygotuje na widok umierającej. Myślałam dzisiaj w nocy, że nastąpi koniec. Obłąkana zerwała się nagle z pościeli i zawołała rozdzierającym głosem: „Anielciu, — Anielciu, — Anielciu!“ Następnie opadła na poduszki i omdlała.“

Kazimierz schylił smutnie głowę i wszedł do pokoju. Był przygotowany na przykry widok, a pomimo tego stan chorej, spoczywającej w wygodnym fotelu, — wzruszył go do głębi.

Alma wyglądała jak staruszka. Biały włos zwieszał się aż do bioder. Oblicze pokryło się zmarszczkami. Rysy straciły wyrazistość. Tylko w ciemnych, zapadłych oczach błyszczał dziwny, bezgraniczny smutek. Żółte ręce spoczywały na białej kołdrze, którą siostra okryła biedną staruszkę.

Kazimierz zbliżył się i wymówił imię Almy. Lecz obłąkana nie zbudziła się z duchowego snu.

„Umarła dla życia i świata!“ szepnął boleśnie wzruszony Kazimierz.

„Czyżby ją nic nie zdołało powołać do życia. — Ha, może moje słowa przełamią tę lodową powłokę.“

Kazimierz sięgnął do kieszeni. Powoli wyciągnął koronkę, którą nosił przy sobie jak najdroższy skarb na świecie. — Była to praca Anielci, jego ukochanej Anielci, którą zrobiła w zakładzie doktora Morizano.

Nagle, — w tej samej sekundzie, kiedy oczy obłąkanej padły na tę koronkę, — zaczęły się ożywiać jej rysy. Poruszyła ustami, podniosła głowę i spojrzała przenikliwie na ręce Kazimierza

A teraz, — teraz wyciągnęła ramiona, chwyciła koronkę z okrzykiem trwogi, jakby się obawiała, by jej Kazimierz nie wydarł tej cennej roboty. Po chwili przyłożyła koronkę do ust.

Milczała i płakała rzewnie. Trzymała przy piersi koronkę, jakby przeczuwała, że palce jej nieszczęśliwego dziecka pracowały nad tą robótką.

„Zdaje sobie sprawę!“ zawołał ucieszony Kazimierz, „widocznie pomyślała sobie, że między tą koronką a Anielcią istnieje pewien związek.“

Kazimierz chciał odebrać obłąkanej koronkę. Lecz Alma spojrzała na niego z wyrazem niemej prośby, tak, że Kazimierz, chcąc nie chcąc, był zmuszony zostawić robótkę w jej rękach.

Niechętnie rozłączył się z swoim talizmanem; nie chciał jednak wyrządzić przykrości biednej obłąkanej. Zbliżył się do drzwi i rzekł siostrze miłosierdzia:

„Droga siostro, biedna pacjentka trzyma w ręce kobiecą robótkę. Proszę uważać, aby tego nie zniszczyła. Jestem przekonany, że ta koronka wpłynie uspokajająco na umysł obłąkanej.“

Siostra skinęła głową. — Kazimierz, wzruszony do głębi, — wyszedł z pokoju. W ogrodzie westchnął głęboko i spojrzał smutnie dokoła. Zdawało mu się, że opuścił przybytek śmierci i przekroczył próg, prowadzący do życia.

Kazimierz postanowił czekać na Zygmunta, a potem wyjechać, celem poszukiwania Anielci. W głębi serca czuł pomyślną nadzieję.

Kazimierz zbliżył się do ławki, stojącej w cieniu prastarych drzew. Usiadł i zamyślił się głęboko.

Ze znużenia przymknął powieki. —

— — — — — — — —

Tymczasem przed bramą zamkową zatrzymał się powóz. — Stary Walenty, posłyszawszy turkot kół, wybiegł do ogrodu. Przeczucie mówiło mu, że nadjechał jego ukochany pan.

I rzeczywiście, nie pomylił się. Z powozu wysiadł hrabia Zygmunt Sokolski. Teraz obrócił się i wyciągnął ręce do wnętrza powozu. Po chwili zjawiła się Elżutka Rodeń, a potem, — młoda, piękna dama, której Walenty jeszcze nie widział, lecz pomimo tego rozpoznał ją od pierwszego spojrzenia. — Była to ta sama urocza dziewczyna, której obraz wisiał w pokoju biednej obłąkanej.

„Walenty, mój poczciwy Walenty!“ zawołał hrabia Zygmunt i podał ręce wiernemu słudze. „Szlachetna duszo!“ Walenty ze łzami w oczach przycisnął do ust rękę swojego pana.

„O, co za szczęście,“ szepnął, „nie myślałem, że mi Bóg pozwoli dożyć tej chwili. Szczęść Boże, panie hrabio, w starej ojczyźnie! Ach, co widzę, panna Rodeń! A tu, o mój Boże, to nie kto inny, jak młoda hrabianka, to —“

„Moja córka," zawołał Zygmunt, „moje dziecko, — moja Anielcia."

Nikt nie zdoła opisać szczęścia, które biło z tych słów hrabiego! Z głębi serca zdawały się wychodzić te trzy wspaniałe słowa:

„Moja córka, — moje dziecko, — moja Anielcia!"

„Jak się masz, Walenty?" zawołała Anielcia.

Zarzuciła mu ręce na szyję i spojrzała łzawem okiem na staroświeckie mury siedziby Sokolskich.

„Zamek Sokolskich!" rzekła cichym głosem, „dom moich ojców! Niegdyś stałam przed bramą jako żebraczka i nie miałam odwagi przekroczyć tych progów. Dzisiaj otwierają się przemną twoje bramy. Z ukochanym ojcem i drogą przyjaciółką wracam pod twój dach, przyjęta wdzięcznością od Boga, który wyprowadził mnie z mroków na dzienne światło."

Hrabia Zygmunt przycisnął do piersi swoje drogie dziecko.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 4 października 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła garnizonowego w Grodnie 12.03 Poranek muzyki operowej pod dyr. Seweryna Pietruszki 14.30 Koncert solistów 16.30 Fragment słuchowiskowy pt. „Odprawa posłów greckich" 17.00 Koncert Małej orkiestry P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego 19.00 „Reflektorem po latach szkolnych" — szkic literacki 19.20 Koncert kameralny (płyty) 21.00 № Wesołej lwowskiej fali 21.30 Koncert w wykonaniu Orkiestry 73 pp. 22.00 „Te 4 w swoim repertuarze" 22.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 5 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 „Z pięknych książek": „Stare bajki" — pogadanka 12.03 Koncert w wykonaniu Orkiestry 63 pp. 12.40 „O niektórych trudnościach wychowawczych" — pogadanka 15.15 Lucyna Szczepańska i zespół Henryka Golda — płyty 15.55 „Pogawędka z dziećmi" 16.15 „Nowa pisownia — wskazówki praktyczne" 16.30 Koncert rozrywkowy 17.00 „Jan Ostroróg i jego memorjał o naprawie Rzeczypospolitej — odczyt 17.50 „Balony głębinowe" — pogadanka 18.50 „Kącik dla młodzieży wiejskiej" 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Recital śpiewaczy Matyldy Polińskiej-Lewickiej 19.50 „1000 taktów muzyki" — w wyk. Zesp. Stefana Rachonia 20.55 „Słońce zajrzało do szkoły" — pogadanka 21.00 „Duma z Poręby" — wieczór literacki 21.30 Kwartet smyczkowy F-Dur M. Ravela 22.00 Koncert rozrywkowy 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 6 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka lekka 15.15 „Fritz Kreisler jako kompozytor i wykonawca" — płyty 16.00 „Stolica i jej sprawy" 16.30 Koncert Małej Orkiestry P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego 17.00 „Londyn ubogich" — odczyt 19.00 „Dyskutujmy": Rola przywódcy w życiu społecznym" 19.20 I audycja z cyklu „Sonaty skrzypcowe L. Bethovena" 19.40 Piosenki w wyk. Chóru „Wesoła Piątka" (ze Lwowa) 20.15 Koncert Symfoniczny w wyk. Orkiestry P. R. 22.30 „Poeta Rimbaud kolonizator Abisynii" — szkic literacki 22.45 Muzyka taneczna z kawiarni.

Środa, dnia 7 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert w wykonaniu Orkiestry Mandolinistów „Sempre Vivo" 15.15 Muzyka (płyty) 16.10 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci 16.30 Koncert w wykonaniu Kapeli Dzierżanowskiego 17.00 „Spełnione marzenia o wojsku" — odczyt 17.50 „Pierwszym tramwajem elektrycznym na wystawę krajową w r. 1894" — pogadanka 19.00 „Opinia" obrazek obyczajowy z powieści J. Weyssenhofa 19.20 Muzyka lekka 21.00 Koncert Chopinowski 22.15 Koncert kameralny 21.30 Koncert Orkiestry Wileńskiej 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 8 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla szkół średnich z Filharmonji Warszawskiej 12.03 Poznański Zespół Salonowy 15.15 Zespół Sandlera i duet śpiewaczy Pills i Tabat 16.20 „Hokus-pokus Dominikus": Wkładam rękę w ogień" — audycja dla dzieci 16.35 Koncert w wykonaniu Małej Ork. P.R. 17.00 „Sytuacja kobiety pracującej" — odczyt 17.50 „Książka i wiedza": „Nowy tom pism Józefa Piłsudskiego — odczyt 19.00 „Dzwon z Lamartin" — premiera słuchowiska 19.30 Recital śpiewaczy Edwarda Bendera 19.50 „Melodie Verdiego" w wyk. Orkiestry Kameralnej (z Krakowa) 20.30 „Z wędrówek po prowincji": „Troki" — pogadanka 20.55 Przemówienie gen. Kołłątaj-Srzednickiego z okazji Tygodnia Budowy Szkół Powszechnych 21.00 I audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" 21.45 Muzyka lekka w wyk. Małej Orkiestry P. R. 22.20 „Płyty dla znawców" 23.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 9 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka salonowa w wyk. Kwartetu Salonowego Rozgł. Krak. 15.15 Erna Sack i Orkiestra Marka Webera (płyty) 16.00 „Film, plastyka i architektura" 16.30 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P.R. 17.00 „Piękno gór słowiańskich" — odczyt 18.50 „Cudze chwalicie swego nie znacie" — pogadanka 19.00 „Ucieczka" — opowiadanie 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 „Z za kulis opery" felieton muzyczny 20.00 „Werther" — opera w 4-ch aktach Jules Masseneta 22.25 „Kryształ i kamień" — wesoły skecz H. Duvernois 22.45 Muzyka lekka i taneczna.

Sobota, dnia 10 października 1936 r.

6.30 Audycja muzyczna 11.30 „Śpiewajmy piosenki" 12.03 Koncert Orkiestry Kolejarzy Śląskich 14.30 „Konik polny i mrówki" — Teatr Wyobraźni dla dzieci 15.15 Koncert rozrywkowy 16.15 Koncert w wyk. Zespołu Pawła Rynasa i Tadeusza Łuczaja 17.00 Transmisja Nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 19.30 „Godzina Fr. Rusta" — koncert Ork. T. Seredyńskiego 21.00 Koncert Ewy Bandrowskiej-Turskiej 22.00 „Łyżka do butów" — humoreska 22.30 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Łamigłówka sylabowa

dzi	ni	od	pem	ten
łu	co	lu	ni	mi
ludu	go	lecz	za	co
za	go	jest	jak	is
tą	ten	e	stro	nie

Poprzestawiać sylaby w ten sposób, aby powstał dwuwiersz Adama Mickiewicza.

Bilety wizytowe
ul. Witold M. z Łysinina

Ks. Rotintur

Hr. U. Talbec

Inż. R. Bójko

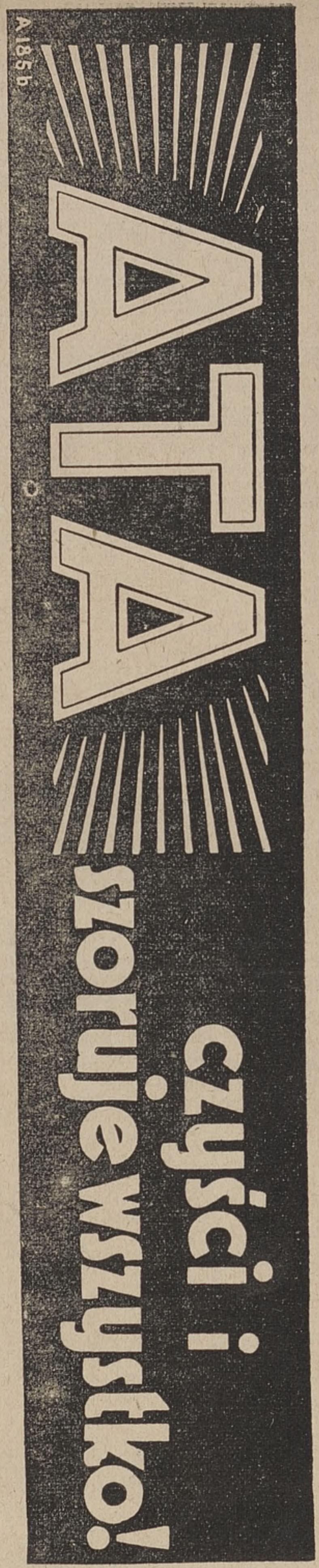
Czem są właściciele powyższych biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 9 października bieżącego roku.

Rozwiązanie zadań z nr. 38 „Moich Powieści" Układanka klockowa: „Gdy śmierć się spóźnia, człowiek myśli, że nigdy nie nadejdzie". Zagadka: Jesień.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali pp.: Janina Reiserówna — Babkowice, Kazimiera Nowaczyk, Radomsko, Antoni Kwiatek — Bożejewice, Adolf Słomski — Wilno, Józefa Klingerówna — Warszawa, Kazimierz Płomiński — Kalisz, Waldemar Setkiewicz — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Józefie Klingerównie z Warszawy i Adolfowi Słomskiemu z Wilna.



HUMOR

Znalazł sposób

Pewien misionarz ochrzcił dzikiego murzyna, poczem rzekł: — Teraz nie nazywasz się Niem-Niam, ale Piotr i pamiętaj, żebyś nie jadł w piątek mięsa.

W piątek jednak zastaje misionarz nawróconego z kawałkiem surowego mięsa w garści i czyni mu z tego powodu wyrzuty.

Nowy chrześcijanin z niewinną miną odpowiada:

— Ależ, ojcze, przecież nie jem mięsa, bo przedtem polałem je wodą i powiedziałem, tak samo, jak ty mnie: „Teraz nie nazywasz się mięso, tylko ryba".

Uczeń Pucciniego

Giacomo Puccini, sławny kompozytor włoski, autor znanych oper „Madame Butterfly", „Toski" i innych przechodząc raz ulicą swego rodzinnego miasta Lukki, usłyszał arję z jednej ze swych oper, wykonywaną przez ulicznego muzyka na harmonii. Domorosły artysta interpretował utwór na swój sposób, nie zawsze oczywiście zgodnie z intencjami wielkiego kompozytora.

— Ależ to nie tak należy grać tę arję, człowieku — rzecze — zatrzymując się autor „Cyganerji". — Uważaj, jak to powinno brzmieć.

To rzekłszy mistrz, wziął instrument do ręki i zagrał odnośną arję.

— A pan kim jest? — zapytał grajek.

— Jestem Puccinim.

Można sobie wyobrazić osłupienie ulicznego muzykanta po usłyszeniu tych słów. Nie mniejsze jednak było zdumienie autora „Toski", gdy w kilka dni później, przechodząc tą samą drogą ulicą, zobaczył znów tego samego grajka przy swoim instrumencie, który tym razem miał przewieszoną na piersiach kartkę z napisem: „Uczeń Pucciniego".

Samowystarczalność

— Jakiż osioł pana ogolił?

— Proszę tylko bez złośliwości. Ja golę się sam!

Życie towarzyskie

Na przyjęciu wieczornem u państwa B. usługuje przy stole niedawno przyjęta służąca, świeżo ze wsi. Podaje tort. Jeden z gości bierze sobie dwa kawałki. Marysia zachęca go dobrotliwie:

— Może pan wziąć jeszcze jeden, wyrachowane jest po 3 kawałki na każdą gębę.

Domowe ognisko

Mąż: — Jeżeli obiad nie będzie zaraz gotowy to pójdę do restauracji.

Żona: Poczekaj tylko 10 minut.

Mąż: — To nie, ale ja zdążę się przebrać i pójść z tobą do restauracji.

Ani chwilki czasu

„Ależ Janko, jak można tak przez pół godziny stać przed drzwiami i rozmawiać z panią Gadulską. Czy nie mogłaś jej zaprosić do środka"...

„Nie, gdyż oświadczyła, że nie ma ani minuty czasu".

Żona czy radio?

— Czuję się tak samotny w domu, że postanowiłem się ożenić.

— Zamiast się ożenić, kup sobie lepiej odbiornik radiowy. Też dobrze robi na samotność, a można go zawsze zamknąć, gdy zadużo mówi.

W restauracji

— Panie, chciałbym dzisiaj dostać coś, czego jeszcze nigdy nie miałem.

— O to doskonale się składa — odpowiada kelner — dzisiaj w karcie jest mózg.

Wielostronność

— Zdaje mi się, że żona twoja pracuje za dwóch.

— O tak, pracuje za dwóch, je za trzech pije za czterech, gada za pięciu.



Właściciel samochodu do szofera podczas katastrofy:

— Wymawiam panu natychmiast posadę!

— A czy mógłbym się chociaż dowiedzieć za co?

Straszna kara

— Czy ty nie wiesz, jaka jest u nas kara za dwużeństwo?

— Jak wszędzie — dwie teściowe.

Uprzejma gospodyni

— Ależ proszę bardzo, niech pan weźmie sobie jeszcze szparagów, mamy tego roku tyle, że używamy ich nawet na pokarm dla — bydła.

Praktyczność dziecięca

Mały Jaś i Zosia rozmawiają ze sobą o kłopotach z uczesaniem. Mama ciągle upomina ażeby nie chodzili z roztarganemi włosami. Jaś więc przypomniawszy sobie jednego z wujaszków, który ma głowę łysą jak kolano, wzdycha do łysiny:

— Wiesz. Zosiu — mówi — gdybym miał taką łysinę jak wuj Szczepan, tobym się nie potrzebował wcale czesać.

— Tak, to prawda — odpowiada po głębszym namyśle Zosia — ale pomyśl: ile miałbyś wtedy twarzy do umycia.

Dobry wybór

— Kupiłam materjał na suknie ślubną. Wychodzę za dwa tygodnie zamąż!

— Jakiż zrobiła pani wybór?

— Sądzę, że dobry, metr kosztuje 13 zł.

Roztargnienie

Przy niniejszem przesyłam ci kochany kolego owe zł 100 pożyczone w roku zeszłym z obietnicą oddania w ciągu tygodnia.

Wybacz, że tak długo zwlekałem, lecz rozmaite okoliczności składały się na zwłokę. Z odbioru listu i pieniędzy bądź łaskaw dla wszelkiej pewności pokwitować.

Twój Agapit.

P. S. Już po wysłaniu tego listu spostrzegłem, iż przez roztargnienie zapomniałem włożyć w kopertę dłużne ci pieniądze. Odeślę je innym razem.

Oszczędni szkoci

— Co kosztuje pokój w hotelu?

— 12 szylingów.

— A śniadanie?

— 3 szylingi.

— A garaż dla auta?

— Gratis.

— Doskonale! Płacę za śniadania z garażem spać będę w mojem aucie.

Z konieczności

— Ameljo, podając do stołu, nie maczaj palców w zupie, aż obrzydzenie bierze!

— Chciałam tylko wyjąć włos.

Na jedno wychodzi

— Nie mam bliskich krewnych.

— Jakto, wszyscy wymarli?

— Nie, ale zbogacili się.

Troskliwość

Hrabia: — Po tych upałach i suszach wyzdycha nam wszystko bydło.

Rządca: — Byle nam Opatrzność tylko jaśnie pana hrabiego zdrowo zachowała.

Powód sympatji

— Czy pan lubi koty?

— Pasjami.

— Dlaczego?

— Bo to jedyna chyba rzecz w Polsce, od której nie płaci się podatku.

Słuszne

— Czy państwo mają w domu poezje Mickiewicza?

— My nie potrzebujemy, proszę kochanej pani, bo nasza córka sama pisze wiersze...

W podmiejskiej kolejce

— Co to panie konduktorze, pociąg wraca?

— A bo, proszę państwa, pan maszynista na ostatniej stacji zostawił cygaro.

W szkole

— Czy mięso wieloryba jest jadalne?

— Tak, panie profesorze.

— A co się robi z jego ośćmi?

— Zostawia je się na talerzu.

Sytuacja bez wyjścia.

— Już mi głowa pęka z bólu. Drze się to radio i drze.

— No to czemu nie zamkniesz aparatu?

— Jakto? A za co zapłaciłem abonament?

Dwa niebezpieczeństwa

— Bój się Boga Zosiu! Znów chcesz pieniędzy?

— Mężusiu, czy wolisz aby zamiast mnie zabrał ci je sekwestrator za podatki?

Mniejsza szkoda

— Słuchaj Kasiu — porcelanowy serwis, któryś mi wczoraj potłukła, był jeszcze po mojej babce...

— O, dzięki Bogu, proszę pani, bo ja się martwiłam, że to był nowy.



PRZEPIĘKNE LOKI **nieograniczenie trwałe** przy wilgotnem powietrzu lub pocie osiągną Panie i Panowie zapomocą esencji „STELLA", dzięki której **ondulacja jest zbyteczna.** Duże zaoszczędzenie **czasu i pieniędzy.** Zaraz po umyciu uzyskuje się **wspaniałe fale ondulowanych loków, pełną powabu fryzurę.** Dużo podziękowań (przedewszystkiem od artystek teatralnych). **Gwarancja,** jeżeli bez skutku zwracamy pieniądze. **1 flaszka 60 gr, 3 flaszki 1 zł,** wpłacić zgóry można znacz. poczt. Ceny powyższe przysługują tylko tym, którzy prześlą **wycinek ogłoszenia** wraz z zamówieniem do **dnia 22 bm. TAD. NOWAK i SKA** Wytw. kosmet. POZNAŃ skr. p. 125/c.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: **Marja** Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie